Nr. 5. Lwow, dnia 1. Maja 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

DZIK.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

przez

Władysława Spaustę.

Kultura i postęp niech uderzą w struny tryumfu, a myśliwi niech zapłaczą, bo zbliża się już chwila wytępienia dzika i w naszych lasach, zbliża się szybkim krokiem okres czasu, w którym chyba tylko trofea myśliwskie i gadki starych przypomną młodym pokoleniom, co się kiedyś w kniejach naszych kryło. Podobny los, jaki ongi spotkał żubra, łosia, jelenia i t. p., zgotowany jest i czarnemu zwierzowi. Prąd kultury w zwycięskim swym pochodzie ścieśnia z dniem każdym granice swobody w przyrodzie, skazuje ją na coraz mniejszy widokrąg, aż wreszcie zapanuje nad nią całkowicie. Niedziw zatem, że i dla dzika, owego miłośnika wolności, który nie znosi cisnącego jarzma kultury i nie może się z nim pogodzić, coraz mniej miejsca w przyrodzie...

Dzik wyginął prawie zupełnie w zachodnich krajach Europy, a w Niemczech, gdzie zwierz ten niegdyś zamieszkiwał w niezliczonych stadach, kryją się już tylko nieliczne egzemplarze w Czarnym lesie, w Turyngii i Górach Olbrzymich. Dziś — jutro i tam im wybije ostatnia godzina.

W kraju naszym, osobliwie we wschodniej części, gdzie wielkie obszary lasów jeszcze istnieją, znajduje zwierz czarny tu i owdzie schroniska, szczególnie nad brzegami nieuregulowanych rzek, jezior, zarosłych trzciną i łozami. Miejsca te można uważać za mateczniki dzika. Tu on przebywa jako stały mieszkaniec i rozchodzi się w trzodach po innych kniejach, gdzie znajduje warunki egzystencji.

Gdyby nie te niedostępne mateczniki, gąszcze traw i zarośli, urągające sztuce łowieckiej, niemniej niepewne przymioty tego zwierza, chroniące go jeszcze na dziś od zupełnej zagłady, to z pewnością należałby i on do wymarłych gatunków, a nie do obecnego sportu myśliwskiego.

Gdy los przeznaczył mi żyć jeszcze w tej porze i w okolicach, w których można się było spotkać oko w oko z dzikiem — bo przez lat 20 przebywałem w miejscach, w których zwierz czarny należał bądź do gniazdowych (stałych) mieszkańców kniei sąsiednich, bądź często w tychże koczował — miałem przeto sposobność jako miłośnik kniei i jej całej przyrody podpatrywać życie tego zwierza, a nie

chcąc, aby to, co w dwudziestoletnim okresie życia w tym względzie doświadczyłem, wraz ze mną zaginęło, zestawiłem to w niniejszej pracy. Wszystko, co tylko w niej umieściłem, czerpałem bądź z własnego doświadczenia, bądź powtórzyłem zdania powag w tym względzie uznanych, a nie bawiąc się w rozwlekłe opisy i strzegąc się łaciny myśliwskiej, pragnąłem nadać wszystkiemu cechę naukową. Jeżeli w skutek tego praca moja wyda się mniej barwną, to zyskuje na tem prawda, a to jest rzeczą najważniejszą. Jeżeli zaś gdzie omyliłem się, niezrozumiawszy lub niedosłuchawszy się głosu przyrody, to wdzięczny będę każdemu z czytelników, gdy mnie go lepiej wytłumaczy.

Rzecz to na pozór zadziwiająca, iż posiadamy tak mało wiadomości o życiu i zwyczajach najbliżej nas stojących zwierząt łownych, zwierząt, z któremi spotykamy się prawie codziennie. Kto jednak kiedykolwiek starał się badać i podpatrywać życie, ten potrafi ocenić, jakie na tej drodze spotyka się trudności, ile trudów i zawodów doznać potrzeba, chcąc wiedzę wzbogacić choćby jednym drobnym szczegółem. Ztąd pochodzi, iż dotąd nad najważniejszemi kwestjami życiowemi tych zwierząt toczą się spory, spory badaczy prawdziwych, i wiele kwestyj po dziśdzień jeszcze ciągle uważać należy za hypotezy. Wspomnę tu tylko o kwestyi rui i lęgu niedźwiedzi, niedawno dopiero wyświeconej, o podobnej kwestyi u sarn, która do dziśdnia jest przedmiotem poważnego sporu i t. p.

Dlatego też, jeżeli któremukolwiek z badaczy udało się w czemkolwiek podchwycić jaką charakterystyczną cechę, nie dziw, że pospiesza swą zdobyczą podzielić się z drugimi w tem przekonaniu, iż dorzuci w ten sposób choćby jedną cegiełkę do dzieła poznania przyrody.

Rozprawą mą pragnąłbym osiągnąć cel dwojaki. Po pierwsze: zapoznać młodszą generację z przyrodą zwierza, ustępującego z naszych lasów, którego łowy nastręczają tyle prawdziwie męskiej rozrywki; powtóre: chciałbym, przedstawiwszy życie jego i obyczaje, podać uposażonym w dotyczące środki możność utrzymania dzika sztucznie według wymogów przyrody w parkach zwierzęcych, umyślnie na ten cel zakładanych.

Odwołuję się zatem do was, panowie właściciele rozległych kniei, w których są tak odpowiednie miejsca dla nieszczęśliwego tułacza naszych lasów; tam on może dalej wieść swój żywot pod opieką waszą spokojnie. Potomność wdzięczną wam będzie, że nie dozwolicie, aby została pozbawioną tak pięknej rozrywki myśliwskiej, jak łowy na dzika. A zbliża się najniezawodniej chwila, z którą parki zwierzęce zaczną mieć znaczenie ekonomiczne i u nas. Wnoszę to, mając na oku stosunki pogranicznych nam krajów na zachodzie, a nie ma powodów, dla którychby u nas inaczaj być miało.

* * *

Dzika świnia, pospolicie dzikiem zwana *(Porcus agrestis, Sus scrofa)*, „zwierz czarny“ w dziedzinie łowieckiej, należy do rzędu zwierząt parzysto-kopytnych gruboskórych *(pachydermata)* i jest w Europie jedynym reprezentantem tego rzędu. Tu należą największe zwierzęta krajów gorących, słonie, hipopotamy, nosorożce i tapiry. Jednę z familii tego rzędu stanowią szczeciaki *(Setigera)*, albo świnie *(Suidae)* a na czele tejże wymieniają zoologowie dzika. On jeden tylko przetrwał zmienne czasów koleje w części świata przez nas zamieszkanej, i podczas gdy w eocenicznych warstwach formacyi trzeciorzędowej spotykamy szkielety antenatów jego *(Sus chaeroides* paleontologów), epigoni, przebiegają jeszcze dzisiejsze ostępy i knieje. Wszystkie inne zwierzęta, do rzędu gruboskórców zaliczane, zaginęły jeszcze w czasach przedhistorycznych w Europie. Widzimy z tego, że dzik, to potomek bardzo starożytnego rodu, godny poszanowania reprezentant epoki bardzo oddalonej, epoki, w której o człowieku ani słychu nie było, bo tworzywo jego istniało w innem ugrupowaniu w łonie natury, a pojawiło się według badań F. Millera i E. Haekla dopiero w miocenie w kształtach zbliżonych.

Dzik zamieszkuje dziś przeważnie wschodnie i południowe kraje Europy; w innych krajach został bądź wytępionym, bądź nigdy go tam niebyło. W krajach na północ morza Bałtyckiego nie ma go wcale. Na wyspach Szetlandzkich i Orkneyskich ma się znajdować. Jest on tu wzrostu mniejszego, a pokryty w skutek ostrego klimatu bardzo gęstym włosem i szczecią. Dzik jest zwierzęciem bardzo silnie i krępo zbudowanem; długość ciała jego dochodzi 1·90 mtr. oprócz ogona, mierzącego 25 cm. długości. Wysokość ciała nad przedniemi nogami dochodzi 1 metra, a waga żywa ciała do 300 kilgr. i więcej. Waga 300 klgr. wprawdzie już i dziś rzadko się trafia, bo myśliwi nie dadzą zwierzowi temu doróść, wszelako widziałem okazy ogromne, przypominające mimowolnie owego mitologicznego dzika, którego rozgniewany Ares posłał na ziemię, aby zamordował rywala jego Adonisa.

W roku 1881. w grudniu, udało mi się ubić w lesie Juśkowieckim dzika, wprawdzie bardzo sadlistego (tłustego), który ważył 331 kilogramów. Był to prawdziwy potwór. Mrowie po mnie przeszło, gdym już o zmroku, sam jeden w lesie stojąc na poszlaku (tropie), i mając tylko jednę kulę do dyspozycyi — gdyż nie byłem wcale przygotowany na tego rodzaju spotkanie — zoczył olbrzyma tego, zbliżającego się powoli. Głowa jego wypchana stanowi po dziśdzień ozdobę pokoju i piękną pamiątkę łowiecką.

Z powodu, iż dzik w rozmaitych warunkach bardzo różną wagę ciała przedstawia, są podania o wadze niezgodne. Bardzo wielkie zwierzęta ważą mało, gdy są chude i przeciwnie — małe dziki mogą mieć częstokroć niezwykłą wagę.

W r. 1884. w marcu, zdarzyło mi się ubić w lasach Komarniańskich bardzo wielkiego dzika (ciało bez ogona mierzyło 1·87 mtr.), a przecież ważył on tylko 140 klgr., był też chudym nie do opisania. Po obieleniu go, t. j. po zdjęciu skóry, wysypało się z pod tejże kilka nabojów rozmaitego śrótu, które ten biedaczysko ze sobą nosił. To mi wytłumaczyło zagadkę chudości i za tem idącą uderzająco małą wagę.

Każda poniekąd okolica posiada swą faunę charakterystyczną, odpowiednią warunkom miejscowym; to też podania co do wzrostu i wagi jednego i tego samego rodzaju zwierza nie zgodzą się nigdy, jeżeli są czerpane z różnych okolic. A różnice muszą być jeszcze znaczniejsze przy tego rodzaju zwierzęciu, jakim jest dzik, u którego waga ciała zawisłą jest bardzo od ilości nagromadzonego tłuszczu i od pory roku, w której ważenie przedsiębrano. Jeżeli waga zwierząt dzikich, nie odznaczających się szczególnem osadzaniem tłuszczu, w rozmaitych okolicach pół na pół się różni, to cóż dopiero powiedzieć o wadze ciała takich zwierząt, u których tłuszcz może się nagromadzić do $^1/_3$ części wagi całego organizmu.

W późnej jesieni dochodzi zwykle sadlistość dzika do punktu kulminacyjnego; od tej pory ubywa mu wagi, a

ubytek ten jest tem szybszy, im trudniejsze warunki wyżywienia się zapanują. W wyjątkowych latach, gdy ziemia pod śniegiem niezamarznięta pozwala dogodnie żerować, utrzymują się dziki przez całą zimę w bardzo dobrej kondycyi.

Od wszystkich pokrewnych rodzajów odróżnia się dzik charakterystyczną swą budową. Ciało w przodzie spłaszczone, grzbiet ku górze wypukły, wyższy od lędźwi i krzyża, a tył mocno ku ogonowi ścięty. Przód ciała u dzika jest w ogóle niestosunkowo do reszty tułowiu rozwinięty. Głowa na krótkiej osadzona szyi, stosunkowo wielka (przeszło $^1/_3$ całej długości ciała), odróżnia go najbardziej od ras świni oswojonej. Mała kość łzowa, mieszcząca się przed jamą oczną, która u dzika jest długą i wąską, u ras zaś w niewoli chowanych krótką a szeroką, stanowi najważniejszą różnicę osteologiczną i dowodzi, że oswojona świnia powstała za pomocą przymieszki świń rasy indyjskiej *(sus indicus)*, u której właśnie tę wybitną różnicę się spotyka.

Z powodu krótkości szyi głowa u dzika jest mało zwrotną. Profil czaszki, prawie prostemi liniami ograniczony, klinowaty, nadaje całości wyraz dziki. Stanowi to także charakterystyczną cechę, gdyż u ras przyswojonych jest linia wierzchu czaszki, w miejscu, gdzie się stykają kości nosowe z kością czelną, mniej lub więcej ku dołowi załamana. Uszy u dzika, stosunkowo wielkie, przylegają do ciała lub szeroko odstają (zależy to od chwilowego usposobienia zwierzęcia), oczy małe, ciemnego koloru, ozdobione są silną brwią czarną, ryj (gwizd) krążkowaty (tabakiera), nadzwyczaj silny, odnoża opatrzone czterma racicami (rapciami), z których dwie większe służą do stąpania, dwie zaś mniejsze, w tyle nogi umieszczone, pozostawiają przy chodzeniu końcami ślady tylko na ziemi miękkiej lub śniegu, nie dotykają wszakże ziemi, gdy zwierz po twardej stąpa powierzchni.

Budowa odnóży, nadzwyczaj silna, usposabia dzika do wielkich wysileń, dalekich wędrówek, szybkiego biegu, skoków i zwrotów nadzwyczajnych. To na pozór przysadkowate i ciężkie ciało, lekko odbywa wszelkie poruszenia, a prawdziwie zajmującym jest widok trzody dzików, rozigranych swobodą.

Harmonia w ruchach i budowie ciała u sarny lub u jelenia składa się niezawodnie na widok piękny, z budowy smukłej wypływają owe powabne, lekkie ruchy; tu zaś spostrzega się kontrast, ciało wydaje się ciężkie i niezgrabne, a przecież posuwa się lekko i daje obraz zjawiska srogiego i wyzywającego. Sprawia to wrażenie niezwykłe. W budowie tego zwierza łączy się doskonała mechanika odnóży z nadzwyczaj rozwiniętemi organami oddechowemi na całość wielce potężną.

Uzębienie dzika składa się z 44 zębów, rozłożonych po 22 w obu szczękach, a mianowicie w każdej szczęce: 6 zębów szczypiących, czyli siekaczy, 2 kły (szable) i 14 zębów trzonowych. Siekacze spodniej szczęki są więcej leżąco, górnej stojąco osadzone; zęby trzonowe o powierzchni nierównej, najeżonej wypukłościami stożkowatemi, umożliwiają zwierzęciu rozmiażdżanie wszelkich pokarmów roślinnych i zwierzęcych. Kły górne, w swej osadzie grube ale puste, zwracają się ku górze, są na swej zewnętrznej powierzchni kanelowane i zwykle równą, w skutek otarcia powstałą płaszczyzną na końcach odgraniczone. Kły dolne, o przekroju trójkątnym, w końcach zaostrzone, są bardzo głęboko i silnie w dolnej szczęce osadzone. Obie pary kłów powleczone są bardzo twardem szkliwem i stanowią straszną broń; niemniej są bardzo skutecznem narzędziem w żerowaniu. Szable te, w połączeniu z gwizdem, opatrzonym prawdziwie herkulesową muskulaturą, umożliwiają dzikowi wykonać pracę, nad którą nieraz zdumieć się wypada. Przyrządom tym zawdzięcza dzik życie, gdy jest zmuszony z przemarzłej ziemi lasów i zarośli wydobywać niezbędny dlań pokarm. Jednem uderzeniem potężnej głowy wywala bryły objętości kilku stóp kubicznych i rwie przemarzłe skiby. A cóż dopiero mówić o robocie w pulchnej, grubą warstwą próchnicy pokrytej ziemi lasowej? Bawi się on tem formalnie bez żadnego wytężenia, i całe pasy lasów wyglądają wówczas jakby wyorane, a przynajmniej bardzo porządnie zmotyczone.

Nie wszędzie dzik jednakowo ryje (buchtuje). Są knieje, w których pomimo obecności dzików bardzo rzadko buchty się spotyka; w innych zaś przewraca dzik całe pasma. Pochodzi to ztąd, iż nie każda gleba leśna posiada w swem łonie pożywienie dla niego przydatne: robactwo i smaczne korzenie. Jeśli zaś dzik znajduje dostateczną żywność na powierzchni ziemi, w skutek nalotu nasion i owoców leśnych, nie buchtuje prawie wcale.

Zwierzęta młode (warchlaki, także paciuczki), nie posiadające jeszcze tak doskonałych narzędzi do żerowania i mniej silne, nie zdołają się dobrze wyżywić, gdy ziemia głęboko zamarznie; chudną nadzwyczajnie a nawet z głodu zdychają. W r. 1882. zdybałem w lesie kilka nieżywych warchlaków, pomimo, iż nie mogłem na nich dojrzeć uszkodzenia od postrzałów; wycieńczenie organizmu mówiło zanadto wyraźnie o przyczynie śmierci. Inną razą złapali włościanie żywego jeszcze warchlaka, który jednak tak podupadał na siłach, iż w głębobim śniegu uciekać nie mógł. Wśród takich okoliczności dają sobie jakąś radę zwierzęta starsze i jeżeli nie obrosną sadłem, to przynajmniej w niezłej kondycyi zdołają się utrzymać.

Wyrost i zmiana zębów mlecznych na stałe, jakkolwiek ulegają pewnym wyjątkom w skutek miejscowych warunków, dadzą się jednak sprowadzić do pewnych epok życia. Płód przynosi ze sobą na świat parę siekaczów, w 3—4 miesięcy wyrasta reszta tychże. Od 10 miesiąca zaczyna się zmiana siekaczów, a do 2 lat są już wszystkie zastąpione siekaczami stałemi.

Zęby trzonowe wyrastają od 5 lub 6 tygodnia do 7 lub 8 miesiąca; do 20 miesięcy wieku zastępują je zęby trzonowe stałe. Kły mleczne znajdują się już u płodu; w 10—11 miesiącu wyrzynają się kły stałe.

Dzik dwuletni posiada zatem wyrównane zęby stałe i od tej pory można go uznać pełnołetnim. W tym wieku zowią samca myśliwi w y c i n k i e m, a nazwa ta odnosi się do 4 lub 5 roku. Pomimo, iż uzębienie stałe już jest kompletne, rozwój całego ciała odbywa się jeszcze dalej, nie tak, jak u innych rodzajów zwierząt, np. u bydląt, koni i t. p. po wyrównaniu się zębów. Dzik, doszedłszy do tego, posiada dopiero narzędzia do dobrego odżywiania się i rośnie dalej. W ogóle rozwój ciała postępuje powoli; lecz trwa zato długo. Nie umiem powiedzieć, do jakiego wieku dzik się rozwija, a to z tej przyczyny, iż oznaczenie wieku po zupełnem wyrznięciu się zębów jest bardzo niepewne i brak mu ścisłych podstaw.

W późniejszym wieku najwidoczniejsze, bo zaraz w oko wpadające zmiany odbywają się na kłach, czyli szablach. Z początku, t. j. po wyrznięciu się, stoją one do góry i na zewnątrz, mając bardzo ostre końce; później zwracają się więcej ku ciału i zakrzywiają się w kształcie półksiężyca, lub szabli tureckiej, zkąd i nazwa łowiecka pochodzi. Często u starych dzików szable te są nadłamane lub otarte.

Samice, w języku myśliwskim s a m u r y (gdy są jałowe) lub m a c i o r y, posiadają również kły, jakkolwiek o wiele krótsze i słabsze.

Ciało dzika okryte jest grubą skórą. Najgrubszą, bo do 2 cm. dochodzącą jest skóra na tyle karku i na grzbiecie, a coraz cieńszą ku spodowi ciała. W niektórych miejscach, jak np. na zgięciach i za uszami, jest cienką i delikatną. Tkanina skóry w najgrubszych miejscach jest gąbczastą i rzadką.

Z wyjątkiem niektórych zgięć i na wewnątrz odnóży, porośnięta jest cała skóra szczecią grubą, najdłuższą na grzbiecie i karku, a krótszą na reszcie ciała. W spodzie pod szczecią wyrasta w porze zimowej kędzierzawy włos wełnisty, bardzo gęsty. Na głowie, grzbiecie i bokach szczeć rośnie od przodu ku tyłowi, pod szyją zaś i na brzuchu zwróconą jest ku przodowi. Na linii zetknięcia się przeciwnych kierunków, osobliwie na szyi, powstaje pas, jakby najeżonej zawsze szczeciny, co osobliwie starym dzikom nadaje właściwy wyraz dzikości i minę srogą. Tak ubrany dzik drwić sobie może z wszelkich klimatycznych wybryków, z mrozów ostrych i wiatrów.

Z wiosną wełnisty włos wypada, a dzik w garniturze letnim, z samej tylko szczeciny, oczekuje skwarów letnich. Szczeć na karku i grzbiecie dorasta u starszych dzików do 18 cm. długości i może być za pomocą płaskich muskułów podskórnych zjeżoną. Myśliwi mówią wtedy, że „dzik stawia pióra“. W ogóle posiada dzik władzę jeżenia szczeci prawie na całem tułowiu, co przy rozdrażnieniu lub zaniepokojeniu zwierza spostrzegać się daje; również podczas ostrych mrozów szczeć do pewnego stopnia się zjeża. Najeżenie to nadaje dzikowi chwilami całkiem odmienne wyglądanie. „Pióra“ na grzbiecie robią go wysokim, uszy odstają od głowy i cała sylwetka sprawia wówczas wrażenie niedoopisania srogie i wspaniałe, do czego przyczyniają się również błyszczące szable, pewny siebie wzrok i oryginalny w tych wypadkach głos, który w łowieckim języku „krzykaniem“ się zowie. Jestto obrazek natury, dla którego warto nieraz poświęcić kilkudniowe mozoły i trudy.

Włos szczeciowy u zwierząt dorosłych w zimie jest w $^5/_6$ swej długości od spodu czarny, w $^1/_6$, zaś rudawo-szary i rozsypuje się w końcach na 5—6 szczecinek. Puch wełnisty pod szczecią, nadzwyczajnie delikatny, jest u dorosłych dzików barwy wielbłądziej, u warchlaków zaś srebrno-siwej. Szczecinka warchlaków składa się z włosów do połowy czarnych, a wreszcie płowo-burych. To są główne barwy sukienki dzika, występujące całemi płaszczyznami. W niektórych miejscach porasta szczecina zupełnie siwa lub rudawa np. przy zgięciach skóry, odnóża zaś są zawsze pokryte grubym czarnym włosem. Za uszami wcale szczeci nie ma; miejsce to pokrywa jedynie wzmiankowany puch wełnisty.

Z opisu szczegółowego szczeciny i wełny wypływa samo przez się, w jakiej barwie całość przedstawić się może w rozmaitych porach i okolicznościach. W porze zimowej, gdy większa część szczeciny czarnej u spodu kryje się w wełnie i tylko mała stosunkowo część czarna wystaje, bure zaś i rozkłute końce szczeci przykrywają sobą wystające czarne części szczeciny, ogólnem wrażeniem będzie barwa ciemna rudawo-czarna, na odnóżach czarna. Warchlaki mają zawsze barwę jaśniejszą, więcej żółtą, jak to również ze szczegółowego opisu wypływa.

W porze letniej, gdy puch wełnisty wypadnie i tylko sama szczeć okrywa skórę, a w dodatku rozkłute końce tejże pod wpływem deszczu i słońca odkruszą się, wygląda dzik prawie czarno. Barwa ta ciemna nie tak jaskrawo odbija na neutralnem tle ziemi leśnej, lub pośród zieleni; jaśniejsze ubarwienie zimowe wydaje się na białem tle stosunkowo ciemniejsze. Kontrast barw wywołuje owe złudzenie.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad opisem sukienki dzika niżby należało, uczyniłem to jednak z umysłu, aby, określiwszy zasady ubarwienia, wyrugować fałszywe pojęcia w tym przedmiocie. Jeżeli zdarzają się dziki odmiennie ubarwione od powyższego opisu, to przyczyna tego leży w okolicznościach, do których jeszcze wrócę w ciągu niniejszej rozprawy.

Dzik wydaje pewną woń charakterystyczną, różną od nieprzyjemnej woni, którą się odznaczają nasze wszystkie świnie domowe. Woń tę podchwytują psy doskonale, a ponieważ jest bardzo silną, zwietrzają dzika nawet na wielkie oddalenia. Siedzibą jej są gruczołki potowe, w skórze umieszczone, a pochodzi ona z pewnych lotnych kwasów tłuszczowych, wydzielających się porami skóry na zewnątrz. O ile woń ta jest silną i przenikliwą, dowodzi okoliczność, iż w miejscach, gdzie dzik ocierał się o drzewa, o czem ślady otarcia i włosy wyrwane pouczają, można za świeża dość wyraźnie bardzo normalnym węchem ją odróżnić. Niedziw zatem, że tak przenikliwa i silna woń udziela się i mięsu, jeżeli takowe długi czas w skórze pozostawało. Najdobitniej odczuwa się tę woń na talerzu, gdy mięso z dzika wraz z skórą (jak to jeszcze tu i owdzie jest w zwyczaju), do spożycia podają, bo zjadamy wówczas wszystkie gruczołki potowe wraz z ich aromatyczną zawartością. Mimo, iż sztuka kulinarna umie znów innemi specyalnemi zapachami pokryć poniekąd ową naturalną parfumeryę, nie zmyli to jednak nikogo co do jakości mięsa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA TROP TRAFILI.

Zimnem przeszyci, wichrem owiani,
Łowcy zuchwali,
Szukali tropu w deber otchłani,
„Mysia“ szukali.

Z piersi ich nie brzmiał w owym pochodzie
Żaden jęk skargi,
A tylko wódką bracia w Nemrodzie
Zwilżali wargi.

Niebios nad nimi strop ołowiany
Wichurą dymi,
Straszliwa burza, dzikie orkany
Wyją nad nimi.

Ale „spotkaniem“ mózg rozpalony;
Marzą o sławie;
By żebra liczył „myś“ postrzelony,
Nie są w obawie.

Każda dłoń bowiem „expressa“ dzierży,
Kordelas w pasie;
Weźmiesz w łeb „mysiu“, gdy dłoń ta zmierzy...
Do żeber zasię!

Niestety! żądnym łupu i sławy
Trud członki nuży,
Złamani rzekną: *finis* wyprawy!
Zginiem w tej burzy.

Wtem jeden, który wzrok miał sokoła,
Zadrgał zapałem:
— Bracia, eureka! — nagle zawoła —
Ja trop ujrzałem!

„Mysia“ chłop śledzi! — Więc z lankastrówką
Mknie w trop jak gończy;
Raptem się znalazł przed leśniczówką...
Tu trop się kończy.

Pomknęli za nim w skok bez hałasu —
Patrzą — —
W tej chwili
Tropem tym wołu Hryć przygnał z lasu:
Na trop trafili!...

Sew. Krogulski.

Z obcych światów.

II.

Przy świetle księżyca.

Jeden z podróżników południowej Ameryki, W. Lehr, daje następujący obrazek nocnego polowania w Uruguaju.

„Słońce, zniżające się nad horyzont jak wspaniała kula ognista, znikło właśnie za falowatą linią niezmierzonej równiny; jeszcze tylko zachód lśni przecudowną purpurą. Jak wachlarz, rozchodzą się wiązki promieni od tego miejsca, gdzie słońce zatonęło w oceanie, i rumienią warstwę chmur, lecz widowisko urocze można tylko przez chwilę podziwiać, bo zorza wieczorna trwa w Uruguaju zaledwie kilka minut. Przejście z dnia do nocy bywa nagłe i surowe.

Ale dzisiaj, gdy księżyc w pełni wraz z słońcem na niebie się ukazał, nie było ani jednej chwili zmierzchu. Zaledwo pochodnia dzienna znikła w odległej toni morskiej, już księżyc osrebrzył falisto-pagórkowatą równinę uruguajskich pampasów. Powietrze oziębia się znacznie, a dokuczliwy upał dnia parnego ustąpił miejsca wietrzykowi, który przyjemnie skroń chłodzi. I nie można sobie życzyć przyjemniejszego wieczoru, ażeby dosiąść konia i puścić się na łów nocnych zwierząt stepowych.

Rumaki stoją już posiodłane; my tymczasem zwołujemy psy, wreszcie każdy dosiada dzielnego, rżącego „mustanga“ i ruszamy z kopyta przez noc księżycową po dalekim, bezgranicznym stepie.

Towarzystwo nasze myśliwskie składało się z 11 osób. Wesoło żartując, suniemy naprzód. Każdy jest odmiennie a stósownie do celów myśliwskich uzbrojony; każdy ma jednak u boku kordelas, t. zw. „bowie“, broń, z którą się „gauczo*)“ tutejszy nigdy nie rozłącza, zatknąwszy ją za „fachę“, tj. pas, czyli szeroką barwistą szarfę z wiszącemi u niej długiemi frędzlami.

Złaja dobrze do polowania zaprawionych psów biegnie przed nami, wietrząc pilnie na wszystkie strony. Teraz ściągają do czegoś i biegną za tropem, węsząc przy ziemi. Wtem nikną między załomami skał, ujętych uroczo w ramkę krzewów i drzew. Lecz choć to prześliczny obrazek, zwłaszcza w promieniach księżyca, nie mamy czasu bawić się romantycznemi widokami natury. Trzeba pocisnąć konia, ażeby dotrzymać kroku psom, bo oto wypłynęły znowu na wolny step, a przed niemi posuwa się jakaś masa w szybkiej ucieczce. Psy poczęły szczekać i docierają, a my tuż za psami i poznajemy, że to duży dydelf *(Didelphis Azarae)* którego krajowcy zwą „komadrecha“. Zwierzę poznało wnet, że pogoni ujść nie może; postanawia więc zatrzymać się i stanąć odważnie do walki. Ale psy nie wiele się boją szeroko otwartej paszczy, groźnego mruczenia i nieprzyjemnie cuchnącej cieczy, którą z siebie dydelf strzyka. W jednej chwili chwyta go pies za kark, potrząsa i rzuca na ziemię. Biedny torbacz leży bez ruchu, ale tylko udaje zabitego, „oposumuje“. Psy zdają się znać ten zmysł dydelfa, gdyż go nie odstępują, a rzucają się nań co chwila i gryzą leżącego, że aż chrupanie kości słychać. Odwołujemy pieski naprzód, ale gauczo nie może sobie odmówić wielkiej dla niego przyjemności; skacze z konia, dopada dydelfa i przeszywa go kordelasem.

Po kilku minutach jazdy zabłysnęła przed nami wstęga rzeki, lśniąca w promieniach księżyca jak roztopione srebro. Przebywamy ją płytkim brodem i pędzimy dalej wzdłuż brzegu. Wtem podnosi się coś białego z chrapliwym krzykiem z pośród zarośli wodnych. To czapla biała *(Ardea alba)*, spłoszona tententem kopyt końskich.

Jadąc dalej, słyszymy kilka urywanych rechtających tonów, i równocześnie dochodzi nas odgłos ciała wpadającego do wody. To świnka wodna *(Hydrochoerus Capybara)*, która, ratując się przed naszemi strzelbami i psami, daje nurka i niknie pod wodą.

Wtem zboczyły psy nagle od rzeki ku stepowi. Są widocznie na nowym tropie. Galopując za niemi, dostajemy się na teren bardzo niebezpieczny, bo tysiącznemi norami podminowany. Nory te pochodzą od szczurowca *(Ctenomys magellanicus)*, które tu od głosu, jaki z siebie wydają, „Tukutuku“ bywają nazywane. Przejeżdżając przez takie miejsca, trzeba się mieć bardzo na baczności. Trzyma się więc cugle krótko, chcąc galopować dalej. Nagle — hrym! — głuchy łoskot, koń i jeździec leżą na ziemi; Brodaty gauczo klnie na czem świat stoi, choć na szczęście nic mu się nie stało. A że i koń zerwał się zaraz

*) Gauchos (czyt. ga-uczos), krajowcy, mieszańcy białej rasy z indyjską, trudniący się hodowlą bydła.

na nogi, nic mu nie przeszkadza sunąć dalej w szalonym pędzie.

Nadzwyczaj silny odór czosnku zapowiada nam, że jesteśmy w pogoni za śmierdzielem *(Mephitis suffocans)*. I rzeczywiście jest niedaleko. Zwierzę zgrabniutkie stanęło przed nami i oczekuje odważnie spotkania z nieprzyjacielem.

Zatrzymujemy się na kilka metrów od śmierdziela, ażeby przypadkiem nie otrzymać pocisku zielonawo-żółtej cieczy, której odor, nad wyraz nieznośny, nie da się opisać, a tak jest przenikliwy, że skoro ciecz raz się na suknie dostanie, to ją już niesposób czem innem przygłuszyć i wytępić. U przeważnej części osób wywołuje ten odór mocne bole głowy, a u niektórych nawet wymioty.

Śmierdziel, zaliczany do zwierząt łasicowatych i przypominający swą budową to borsuka, to kunę, odznacza się w istocie pięknym kształtem. Jest całkiem czarny, a po obu bokach tułowiu, począwszy od szyi, biegną dwa białe pasy ku ogonowi, którym się teraz rozsrożone zwierzę nito wiewiórka nakrywa. Uniesiony gniewem, wyprawia śmierdziel pocieszne skoki. Odważne psy zbliżają się ku niemu, wtem — jeden zwrot szybki jak błyskawica — i już pies, obryzgany gryzącą cieczą, skowycząc i wyjąc z bolu, tarza się na ziemi. Ten sam los spotyka drugiego i trzeciego napastnika, ale tych napastników jest za dużo, a gdy się z pierwszego bolu opamiętają, z tem większą wściekłością wpadają na biednego śmierdziela. Tem straszniej to wyglada, że psu, gdy go tylko odór śmierdziela zaleci, piana z pyska się toczy jak wściekłemu; tak więc zapienione wpadają na śmierdziela i niemal go rozdzierają.

Jednemu z gauczów, który zsiadł z konia i nieco bliżej się podsunął, dostała się także porcya cieczy gryzącej, i to w twarz Klnąc najokropniej zapewniał nas, że obryzgane miejsce bardziej go piekło, niż rana z oparzenia. Łatwo też pojąć, dlaczego psy obryzgane skowyczą z bolu i starają się ryć pyskiem ziemię, ażeby tylko ciecz okropną zetrzyć. Także do pobliskiej kałuży biegły pieski obmyć się i ochłodzić. Inną satysfakcyę urządził sobie obryzgany gauczo; ten poskoczył ze swojem „bowie“ w ręku ku nieżywemu już śmierdzielowi i jeszcze go kilka razy przekłuł.

Ruszyliśmy dalej. Wkrótce wpadły nam do rąk jeszcze dwa dydelfy, a zaraz potem pancernik czyli armadyl sześcioobrączkowy *(Dasypus sexcinctus)*. Ufając swej niezwykłej chyżości, starał się on umknąć, ale gdy mimo to psy już go doganiały, usiłował za pomocą swych długich i silnych pazurów wykopać jamę w ziemi. Chociaż jednak czynił to z niesłychaną szybkością, zdołał się zaledwie do połowy schronić w ziemi, gdy mu już psy siadły na karku. W jednej chwili stanął już i gauczo przy psach i nożem swym kładzie kres życiu armadyla, a wycina zeń natychmiast cztery gruczoły, znajdujące się pomiędzy nogami i pancerzem, ażeby mięso nie przeszło ich odorem. Tak sporządzonego i wypatroszonego armadyla przytroczył do siodła. Upieczony w popiele lub na rożniu, daje on wyborne pieczyste o mięsie ciemnem, przypominające smakiem dzikie kaczki.

Gdyśmy się przypatrywali armadylowi, jedna część psów odsadziła się w bok i wkrótce usłyszeliśmy zjadliwe ich naszczekiwanie. Co to jest? Spieszymy na miejsce i widzimy nasze psy w walce z t. zw. „urronem“ *(Galictis Vittata)*. Zwierzę to z rodziny kun, broni się z całą zaciekłością. Krzycząc i parskając jak kot, skakało odważnie ku psom i gryzło je zajadle. Im gwałtowniejszą i dzikszą jest ta walka, tem większą przyjemność sprawia ona przypatrującym się jej gauczom. Wrzeszcząc i klnąc po swojemu, zachęcali oni psy do natarcia, aż wreszcie cios, wymierzony w głowę urrona, położył koniec walce. Przytroczyłem go do konia, dziękując Dyannie za tę zdobycz, odznaczającą się pięknem futerkiem.

Już po kilku minutach wpadł nam nowy łup do rąk. Wypłoszyliśmy mianowicie drugiego armadyla. Udało mu się dopaść pobliskiej jamy i zniknąć w niej, ale psy nie dały za wygraną. Rozgrzebują zaciekle lekką i piaskowatą ziemię i wkrótce otwór jamy tak rozszerzyły, że jeden z gauczów mógł armadyla za ogon pochwycić. Daremnie wszakże wytężał wszystkie swe siły; przerażone zwierzę tak się zaparło pancerzem o ściany jamy i tak się wpiło pazurami w ziemię, że nie mógł go wydobyć. Dopiero pchnięcie nożem od tyłu położyło koniec tej rozpaczliwej obronie biednego armadyla.

Zadowoleni naszym połowem myśliwskim, postanowiliśmy zwrócić się ku domowi, zataczając wielki łuk na stepie. Zwolniliśmy tedy biegu, i lekkim kłusem oddalamy się od miejsca, w którym armadyl został pokonany, — gdy wtem psy znowu naprzód się wysforowały. Co to jest? „*Un zorro*! lis“ — odezwało się kilka głosów naraz. Psy sadzą coraz natarczywiej, a więc i my naciskamy coraz bardziej nasze mustangi, ażeby być tuż za goniącą złają. Lecz nadaremna pogoń. Nasze psy zziajane a konie spędzone, nie zdołają więc sprostać świeżym siłom mykity. Mimo to próbujemy się w dalszej pogoni — gdy wtem zabrzmiały głosy:

— Stój! Do odwrotu!

— Co takiego? Co się stało?

— Czy pan nie widzisz tego światełka? — mówią trwożliwie krajowcy.

— Widzę. I cóż ztąd?

— To jest lampka negra, którego zwłoki złożono tam na kamieniach.

— Na kamieniach? Cóż nas to ma wstrzymywać?

Moi ogorzali towarzysze okazują się jednak dziwnie trwożliwi i dokładają wszelkich starań, ażeby mnie skłonić do odwrotu. To jednak zachęca mnie tem bardziej, ażeby zbadać powód ich przesądnej trwogi. Wreszcie z niechęcią i ociąganiem się przystali na to, że będą na mnie w pobliżu czekali.

Pokazało się, że goniąc za lisem, zapędziliśmy się poza granicę stepu, należącego do naszej „estancyi“ i dlatego wpadliśmy na to szczególne cmentarzysko. Gdym bowiem bliżej podjechał, spostrzegłem w istocie rodzaj trumny, złożonej na kupie okruchów bazaltowych. Niski krzyżyk z drzewa tkwił w pośród kamieni, a na krzyżu wisiała zapalona latarka, która tyle strachu napędziła przesądnym gauczom.

Lis znalazł prawdopodobnie pośród kamieni bezpieczne schronisko. Oglądnąwszy wszystko i nie znalazłszy mykity, wróciłem do moich towarzyszy, którzy się uradowali, że wracam zdrów i cały z cmentarzyska, zamieszkałego przez niebezpieczne duchy.

Zbliżyliśmy się znów ku brzegowi rzeki. Był to Corralito. Wypadało nam go powtórnie przebyć, aby się dostać z powrotem do domu. Tuż przed nami hulnęło coś do wody i niebawem ujrzeliśmy w pośrodku rzeki głowę płynącego zwierzęcia. Wzięliśmy je za rodzaj żyjącego tu bobra *(Myopotamus)*; strzelam więc i wkrótce przyniósł mi pies do nogi ciężko zranione zwierzę. Niestety, nie był to bóbr, lecz znowu tak często się tu zdarzająca „komadrecha“.

Wspaniały obraz nocny roztaczał się przed naszemi oczami i upajał je tysiącem uroków, właściwych tylko nocom południowego nieba. Na zachodzie wznosiły się dwa ogniste słupy, roztaczając daleko czerwonawe blaski. Ciekawe to zjawisko przedstawiało się w ciągu dnia w postaci dwóch olbrzymich słupów dymu, a pochodziło z obfitujących w zwierzynę wysp Uruguaju, gdzie palą splątane i niepodobne do przebycia lasy dziewicze i wysoką na chłopa, a niesłychanie ostrą turzycę, którą tu „pacha pava“ zowią. Paląc tę całą roślinność, zasilają krajowcy odrazu ziemię cennemi dla uprawy popiołami, a nadto tępią w ten sposób wszelkie drapieżce i dokuczliwe owady.

Wpatrzeni w owe słupy ogniste, zbliżaliśmy się ku grupie drzew, gdy nagle zachowanie się psów naszych kazało nam wnioskować, że w zaroślach musi się ukrywać jakiś groźniejszy zwierz. Psy naszczekiwały i warczały bezustannie, a przecież szły naprzód jakby niechętnie i z pewną ostrożnością.

W przypuszczeniu, że możemy mieć przed sobą jaguara, zsiadłem z konia, aby być pewnym strzału. Gauczowie woleli zostać na swych mustangach i wzięli „lassa“ do ręki. Oglądając się w około, podsuwałem się z psami naprzód i wkrótce na gałęzi jednego z drzew ujrzałem zwierzę ze świecącemi złowieszczo ślepiami.

Każda sekunda była drogą. Drapieżca mógł jednej chwili rzucić się na mnie. Przypadam więc na kolano, składam się szybko, lecz celuję rozważnie — rozlega się strzał — a tuż za nim pada zwierz na ziemię. Była to ciężko zraniona, a jak się później pokazało oślepiona strzałem pantera, czyli „ocelot“ *(Felis pardalis)*. Rzucała się na psy, chcąc drogo życie swe sprzedać, lecz nie zdołała ich dosięgnąć. Wreszcie świsnęło „lasso“, owinęło się o szyję pięknego zwierzęcia i zadusiło je.

Na tem skończyły się nasze łowy przy świetle księżyca. Bez dalszych przygód wróciliśmy do domu, a puściwszy zmachane mustangi wolno na step, szukaliśmy czem prędzej pościeli, aby przespać resztę nocy po przebytych trudach.“

Choroby psów i sposoby ich leczenia.

(Dokończenie.)

Choroby uszu. *Cieknięcie z uszu.* Chorobie tej ulegają najczęściej psy o długich, zwisłych uszach. Powstaje ona z nagromadzenia się nieczystości w wewnątrz ucha, która nie może wydostać się sposobem naturalnym, z przyczyny pokrycia jamy usznej przez owe zwisające „kłapcie“, będące w wielu względach klapami ochronnemi wnętrza ucha. W razie, gdy nieczystość owa do nadmiaru w jamie lub obu jamach usznych się nagromadzi, ściany uszne przechodzą w stan zapalny, poczynają się jątrzyć, poczem ścieka z uszu ropa bardzo cuchnąca.

Pierwszym środkiem zaradczym na to, jest najdokładniejsze o ile możności oczyszczenie wnętrza chorego ucha z owej nieczystości, lub obcych przedmiotów, które się tam przypadkowo wcisnęły. Jako środek leczniczy służy octan ołowiu z wodą studzienną, czyli t. zw. „woda Gulardowa“, w stanie cokolwiek ogrzanym, którą po łyżeczce od kawy rano i wieczór, powoli, najlepiej po kropli do wnętrza ucha się wlewa. Środek powyżej przepisany dobry jest w początkach choroby. Zadawnione, trudne do wyleczenia cieknięcie z uszu powinien leczyć weterynarz.

2. *Tak zwany „Robak uszny“*. Stosunkowo nie wielkie ranki muszli usznej poczynają się nieznacznie zwiększać, wyciekliny stają się obfitsze i bardziej cuchnące, w dodatku krwią zabarwione. Częstokroć poczynają i chrząstkowe części wnętrza usznego ropić się. Pies tem obarczony potrząsa bezprzestannie głową, czyli jak mówią: kłapie uszami, drapie pazurami zadnich nóg, pragnąc tym sposobem ulżyć sobie w nieznośnym bolu i świądzie, i tem bardziej tylko drażni dotknięte organa. Następstwem tego drapania jest nabrzmienie czyli spuchnięcie końców usznych; poczynają i one się jątrzyć, co w dodatku do chorobliwego stanu wnętrza ucha, jest dla psa dotkliwem a nawet groźnem.

Przy leczeniu robaka usznego należy najpierw użyć odpowiedniego środka przeciw bezprzestannemu trzepaniu uszami i drapaniu się. Zapobieże się temu, zakładając oba fałaty uszne jeden na drugi na odwrót na wierzch głowy. Celem utrzymania ich w tem położeniu, podwiązuje się je paskiem płóciennym 4-calowej szerokości. Poranione płaty trzeba zwilżać cztery do pięciu razy dziennie wodą Gulardową, wnętrze zaś ucha smarować (pędzelkiem) maścią bleiwasową. Dobre usługi oddaje także woda Karbolowa.

Choroba ta należy do uporczywych. Gdy przepisane środki po dłuższem ich użyciu nie skutkują — wezwać weterynarza.

3. *Polip uszny.* Choroba ta przydarza się u psów tak kłapouchych jak i ostrouchów. Polipy są to narośle, wytwarzające się w jamie usznej. W początku narośle te podobne są do małych brodawek. Po pewnym czasie z narośli poczyna się sączyć ropa, w miarę rozwoju choroby czem raz ostrzejszej natury, która, zaciekając aż do wnętrza organu słuchowego, działa niszcząco i pozbawia w końcu zwierza słuchu.

Choroba ta, chirurgicznej będąc natury, chirurgicznie leczoną być powinna. Wziąwszy nitkę mocnego jedwabiu, przewiązuje się nią narośl u samego spodu, czyli jak mówią u korzenia, o ile się da silnie i na podwójny węzeł. Tym sposobem przywiązaną narośl pozostawia się tak długo, aż odpadnie; co zwykle po 8 lub 10 dniach następuje. Narośle te, ile ich jest, trzeba każdą z osobna powyż wskazanym sposobem podwiązać. Miejsca, z których uwiędłe narośle odpadły, należy zwilżać lekkim roztworem octanu ołowiu, siarkanu cynku, lub ałunu. Użycia ostrych narzędzi do szybkiego usunięcia z ucha tych narośli, niewprawnym do wszelkich operacyi, nie radzę.

Psia choroba, nazywana nosacizną. Choroba ta napada wprawdzie psy w różnym wieku, jednakowoż jest ona raczej dziecinną chorobą w psim rodzie, ponieważ objawiać się zwykła najczęściej w wieku młodocianym. Psia choroba jest dla drugich psów zaraźliwą. Zwykła ona napadać jedne psy lekko, inne silnie. W razie lekkiego jej stopnia przechorowują się psy przy stosownej pielęgnacyi, bez zadawania im jakowych środków leczniczych, w przeciągu dwóch tygodni; w większym stopniu trwa choroba ta dłużej, i najczęściej mimo wszelkich starań zabija zwierzę.

Dla zabezpieczenia psów młodych przed tą chorobą, nie powinno się ich zbytnie rozpieszczać wygodami, nie odłączać ich nazbyt wcześnie, albowiem nieodessane szczenięta nie dorastają zazwyczaj i przez całe życie wątłemi pozostają, następnie karmić dostatnio i chronić od zaziębień i zamoczeń. Kto chowa gniazdowe psy, niechaj wybiera do chowu takie tylko szczenięta, których rodzice lub całkowicie nie cierpiały na psią chorobę, lub przynajmniej miały ją tylko w lekkim stopniu; choroba ta albowiem jest, pod względem skłonności do niej, dziedziczną. Przy wyborze szczeniąt do chowu, te tylko pozostawiać należy, które porodziły się na wiosnę, lub o wczesnem lecie, albowiem nadeszła zima zastanie je już odessane, podrosłe, a tem samem wytrwałe na zmiany klimatu.

Sposób i środki leczenia psiej choroby stosują się do jej stopnia. W początkach zadaje się psu (przy stosownej dyecie) gdy chory ma małe zatwardzenie, środek na wymioty, a mianowicie $^{6}/_{10}$ do $^{12}/_{10}$ grama ipekakuany w proszku, a przy silnem zatkaniu stolca $^{12}/_{100}$ do $^{18}/_{100}$ grama emetyku, rozpuszczonego w 30 gramach wody. Zapalone i zakiśnięte oczy przemywać należy ciepłą wodą, mlekiem, a co najlepiej odwarem kwiatu bzowego. Silny stopień psiej choroby zagraża życiu młodego psa, jest trudnym do usunięcia, trzeba zatem wezwać weterynarza.

Psy chore na psią chorobę powinno się jak najspieszniej odłączyć od psów zdrowych. Psów, które w dodatku dostały wysypki skórnej, nawet i ludzie unikać powinni, ponieważ choroba i na nich przenieść się może.

Szkorbut. Słabość ta jest chorobą krwi, uwidoczniającą się głównie na dziąsłach. Można ją poznać po nabrzmieniu, zmięknieniu dziąseł i po barwie ich mocno czerwonej, zapalonej. Wszystkie zęby chwieją się, z jamy ustnej spływa śluz brudnej barwy, mocno cuchnący. Zwierzę szybko opada z ciała, a tem samem z sił.

Przyczyną tej choroby jest skąpe żywienie psa potrawami wyłącznie mącznemi, osobliwie kartoflami bez dodatku, chociażby kilka razy na miesiąc, odpadków mięsnych, kości zwierzęcych i t. p. Niemniej wilgotne leżysko, np. w psiarni, jest przyczyną powstania tej choroby.

Choremu zadaje się wewnętrznie lekarstwa z ziół aromatycznych, jako to: odwar kalmusu (korzenia tataraku) i piołunu po 4 gramy z każdego, $^{12}/_{100}$ do $_{25}/_{100}$ gramów taniny (garbnika) na 30 gramów wody. Dziąsła smaruje się octem winnym, kwasem cytrynowym, lub roztworem ałunu. Zbyt wyszłe z korzenia, czyli chwiejące się zęby najlepiej wyjąć, ponieważ nie ma już środków do umocnienia takowych.

Choroby oczu. 1. *Katarakta szara* przydarza się zwykle u psów starych, po 10 latach życia. Najczęściej napada oba oczy. Na chorobę tę nie ma skutecznych środków leczniczych.

2. *Katarakta czarna,* jak szara napadać zwykła odrazu oba oczy, jakkolwiek przydarza się często, że tylko jedno oko zapada na tę chorobę, gdy drugie pozostaje jasne i zdrowe. Katarakta czarna przydarza się u psów młodych, w pełnej sile wieku, a to z przyczyny nacisku (kongestyi) krwi do głowy, będącego następstwem karmienia psa za obficie i zbyt pożywnemi rzeczami, przy stosunkowo małym ruchu. Niemniej długotrwałe a nieuleczone zapalenie oczu, psia choroba, w końcu poranienia głowy, wytwarzają w następstwie tę chorobę.

Katarakty czarnej zwykły także dostawać i suki oszczenione, gdy się im za prędko, a w dodatku wszystkie naraz szczenięta wytopi. Choroba ta jest ciężka i rzadko wyleczalna.

Kurcz spazmatyczny. W tej chorobie sztywnieje psu szyja, nogi, skutkiem czego pies kroku zrobić nie może, nawet wzrok idzie w słup. Szczęki zamykają się kurczowo; pies nie może ani poruszać się, ani położyć. Choroba to niebezpieczna i kończy się najczęściej śmiercią. Dla ulżenia zwierzęciu męki, najlepiej kazać go zgładzić.

Konwulsye, czyli „taniec św. Wita“. Chorobę tę poznaje się po kurczowych wykrzywieniach, osobliwie głowy i szyi. Pies poczyna poruszać się automatycznie, najczęściej w kółko się kręci, uderzając sobą o różne przedmioty jakby nagle oślepły. Częstokroć skacze w górę, kłapiąc zębami, zdaje się pragnąć pochwycić przedmiot, którego jednak nie ma.

Lekarstwa mocno przeczyszczające, a następnie środki olejkowo-eteryczne i narkotyczne, są tu najbardziej wskazane

Robaki, pasożyty, są chorobą częstokroć u psów się trafiającą. Są to glisty, lub tasiemce, wywołujące chorobliwe objawy żołądka i kiszki odchodowej. Najpewniejszą oznaką robaków u psa, jest pojawienie się ich w wymiocinach i pomiocinach. Tasiemca (solitera) objawia pies także częstokroć przez kurcze, zataczania się i padaczkę. Ogólnemi objawami choroby są: drzenie górnej wargi, tarcie nosa i wożenie się po ziemi, zrywanie się ze skowyczeniem ze snu, częste pokaszliwanie, dławienie w gardle i napinanie się do wymiotowania. Pies traci apetyt i chudnie, ulega naprzemian to zatkaniu, to gwałtownym rozwolnieniom.

Jako lekarstwa na te dolegliwości używane bywają przy dość silnej dyecie znane środki przeciw robakom, np. cytwarowe nasienie, santonina, a potem środki przeczyszczające.

Gdy pies cierpi na tasiemca, natenczas daje mu się $^{1}/_{100}$ do 2 gramów proszku z korzenia paproci, a po 24 godzinach jako środek przeczyszczający: kalomel, gumigutę, jalapę, olejek rycynowy i t. p.

Nowowynalezionym a pewnym środkiem do wypędzenia tasiemca jest: zadanie psu znanej w aptekach „kamali“ 2—4 do 8 gramów naraz z wodą zmieszawszy. Niemniej „kusso“ 4 gramy zmieszane z mlekiem lub wodą, a czasem sam olejek tepentynowy (w emulzyi), lub assafoetyda oddają dobre usługi.

Wścieklizna (wodowstręt). Choroba ta jest najniebezpieczniejszą i najgroźniejszą ze wszystkich psich chorób, gdyż jeśli jad jej w postaci piany lub śliny dostanie się do krwi innego zwierzęcia lub człowieka, nieochybnie zaraża go tą straszną chorobą. Wścieklizny rozróżniamy dwa rodzaje: cichą, czyli spokojną, i gwałtowną, z objawami szału. Choroba ta ma w swym przebiegu trzy stadya.

I. Stadyum pierwsze objawia się zwykle pewnem niewłaściwem zachowaniem się psa. To okazuje drażliwą jakąś energię w ruchach, a nawet przymilaniu się do ludzi znajomych lub reszty psów — to znowu wpada w pewien rodzaj ponurej zadumy, złośliwość, ociężałość w ruchach, a wtedy stroni od ludzi, do których pierw czuł przywiązanie.

Niepokój go ogarnia, miejsca sobie dobrać nie może, układając się to tu to owdzie. Zasypia, lecz nagle zrywa się ze snu, i tak kilkanaście razy na dzień. Traci chęć do jedzenia w części, lub nawet całkowicie, doznając przytem dziwnego gustu do gryzienia a nawet połykania rzeczy całkowicie niestrawnych i niewłaściwych zdrowej naturze, jak: drzewo, słomę, ziemię, skórę i t. p. Pożera pognój psów drugich lub swój własny, liże urynę własną. Częstokroć spostrzegamy u psów w początkach wścieklizny jakąś nadmierną chęć do spółkowania. Pies niegdyś karny, staje się nieposłusznym, głuchym na wołanie i upomnienia; w chodzie bywa ociężałym, oddech miewa utrudniony, także trudności w połykaniu i napięcia wymiotowe. Częstokroć już po 12 godzinach od pierwszych objawów wodowstrętu, nieraz jednak — co jest rzeczą dotąd nieodgadnioną — po dwu a nawet trzech dobach dopiero choroba ta występywać zwykła.

II. W drugiem stadyum charakterystycznemi są następujące objawy: Zmiana w głosie podczas szczekania. Jest ono głuche, jakby z pod ziemi wychodzące, odmiennej zupełnie niźli u psa zdrowego modulacyi. Pies, chociażby pierwej najłagodniejszy, poczyna się rzucać na ludzi, a najradziej na drugie psy. Dziwnej też nabiera chęci do ucieczki z domu, do którego wpierw był przywiązany; teraz szuka tylko sposobności jakby go opuścić, i na oślep popędzić w pola, gdzieś daleko. Na łańcuchu upięty, rzuca się, targa, radby go zerwać. W komórce, lub w psiarni zamknięty, żre drzwi, pragnąc z zamknięcia się wydostać.

Skoro udało mu się na wolność wydobyć, pędzi bezmyślnie co tchu, a tak szybko, że w przeciągu kilku godzin ubieży mil kilkanaście. Naraz doznaje jakowejś ulgi w tym szale. Odzyskuje pozorny spokój, nawet do domu powraca, a ukrywa się przytem, jakby z obawy kary za niedozwolone wydalenie się. Niestety, chwile tej przytomności nie zwykły trwać długo. Ponownie napada psa szał, wyskakuje znagła z swego ukrycia i rzuca się obcesem na wszystko, co mu stoi w drodze.

Wścieklizna niestosowną dostała nazwę „wodowstrętu“; pies wprawdzie w czasie paroksyzmu nietylko nic stałego, ale nawet i płynnego nie pożywa, nie pochodzi to jednak ze wstrętu do wody, będącego następstwem choroby. Przeciwnie, w czasie pauz czyli przerw w paroksyzmie szału, spostrzegano psy przebywające rzeki a nawet chlepczące wodę, choć przełykanie rzeczy stałych i płynnych psu wściekłemu — co jest ściśle połączone z tą chorobą — już w pierwszych stopniach choroby jest trudne, a w dalszych wprost niemożliwe.

Kurczowe ściśnienie przewodu oddechowego jak i pokarmowego, powoduje ową znaczną odmianę głosu psa, a w dalszym rozwoju wścieklizny następuje sparaliżowanie tych narządów, z czego wynika, że pies wściekły nic przełknąć nie zdoła i całkowicie głos traci.

Drugie stadyum wścieklizny nie trwa dłużej nad 2 do 3 dni; następować zwykło niespodzianie porażenie krzyżów, co jest nieochybnym znakiem, że choroba weszła w trzecie stadyum, poczem w 5 do 7 dni śmierć następuje.

Do wyżej określonych objawów wścieklizny dodać musimy, że w oczy bijące oznaki: niezwykłej niespokojności, uciekania z domu, rzucania się na zwierzęta i ludzi, a nawet gryzienia przedmiotów martwych, spostrzegamy tylko u psów, których wścieklizna jest z rodzaju szalonej. Przy wściekliźnie cichej nie spostrzegamy tych wszystkich gwałtownych, w oczy bijących oznak. Pies przy takiej wściekliźnie zachowuje się spokojnie, jakkolwiek ponuro. Nic nie je, nie pije, bo szczęki kurczem ściśnięte tak, że je nietylko psu samemu, lecz nawet człowiekowi przy pomocy narzędzi roztworzyć niepodobna. Odmiana ta cicha nie ma wszakże żadnego wpływu na siłę i zaraźliwość. Owszem przy cichej wściekliźnie prędzej nawet psy ulegają śmierci, niż przy szalonej.

Przyczyna wścieklizny, jeśli nie przez zaszczepienie jadu w skutek ukąszenia, tylko sama z siebie powstała, nie jest dotąd właściwie zbadaną. Nie ma też i nie było dla tej choroby właściwych środków leczniczych i ochronnych. Można podać jedynie przepisy ostrożności, których się trzymać należy i które dyktuje sam zdrowy rozum.

1. Nie trzymać w domu za małej liczby suk stosunkowo do psów. Niemożność bowiem zaspokojenia popędu płciowego, tak u jednej jak i u drugiej płci, wywołuje mocne podrażnienie, które do wścieklizny usposabia.

2. Wspólne z zazdrości miłośnej zażeranie się samców, z czego powstają częstokroć srogie poranienia, nie jest rzeczą małej wagi. Psy bowiem w wielkim gniewie niemal tak ślinią, czyli toczą pianę, jak pies wściekły. Ślina ta przy ukąszeniu w ranę, a tem samem w krew zaszczepiona, może wywołać stan chorobliwy w zranionym. Sam uważałem, że zdrowiu psa ukąszonego nie tyle rany zadane, ile owa ślina w krew wszczepiona dłuższe sprawiała cierpienia. A cierpienia te miały charakter nerwowy.

Przeciwśrodka, zapobiegającego wytworzeniu się samej przez się wściekliźnie, mimo wysiłków znakomitości lekarskich, nie mamy dotąd. Może słynnemu francuskiemu naturaliście Pasteurowi uda się w końcu wydoskonalić swoje odkrycie i uwolnić ludzkość od tej nieszczęsnej choroby.

W nowszych czasach używano „kurary“ jako środka leczącego wściekliznę, skoro się takowej ulegnie z przyczyny zakażenia. Zachodzą jednakowoż wielkie trudności w zadawaniu tego leczniczego środka. Dwu-, trzy- nawet czterykrotne dawki nie wystarczają, czyli nie są wstanie wyleczyć. Więc najczęściej braknie czasu, bo wściekły pies, dostawszy sparaliżowania przewodu pokarmowego, lub kurczowego ściśniecia szczęk, uniemożliwia zadawanie, chociażby najcudowniejszych nawet leków — i pies ginie. Doświadczeni weterynarze przypisują przedewszystkiem natychmiastowe wycięcie lub wypalenie rany środkiem żrącym jak np. potasem kaustycznym, lub nawet żelazem do czerwoności rozpalonem. Ażeby rany tymi sposobami powiększone o ile możności jak najdłużej utrzymać w stanie jątrzenia — co jest koniecznym warunkiem — drażnić je potrzeba maściami ostremi. Nawet po całkowitem zgojeniu się rany, radzą, dla własnego spokoju, nożem otworzyć ranę ponownie i przez pewien przeciąg czasu utrzymać ją w stanie jątrzenia.

Jako środki ostrożności przeciw powstaniu samej z siebie choroby wścieklizny u psów, radzi Dr. Konhäuser następujące:

a) Psy powinno się dostatnio żywić i dozwolić im używać ruchu na świeżem powietrzu.

b) Nie dawać, osobliwie w lecie, zgniłego, cuchnącego mięsa, a tem bardziej ścierwa.

c) Jeśli się żywi psy chlebem, powinien tenże być dobrze wypieczony i niespleśniały. Dobrze jest solić żer podawany.

d) Nie podawać jadła zaprawionego korzeniami i w stanie gorącym. Dobrze jest rzucać psom większe i delikatniejsze kości do gryzienia. Zawarty w nich fosfor skutecznie działa na system kostny u psów młodych, dorosłym wzmacnia żołądek i żywi przytem.

e) Utrzymywać psy czysto. Czesać je, szczotkować i myć często. Psy o długim włosie (kudłate) w lecie kazać ostrzyc.

f) W lecie kąpać psy w rzece lub stawie.

g) Legowiska często odmieniać, podścielając świeże siano lub słomę.

h) Psiarnie lub komórki powinny być zimą zaciszne i ciepłe, latem przewiewne i niezaduszne. Zimą i latem nie powinno nigdy zabraknąć psom świeżej wody do picia.

i) Wzbraniać psom wygrzewać się przy gorących piecach lub palowiskach. Nawet dłuższe przebywanie na słońcu, a względnie jego palących promieniach, jest szkodliwe.

k) Nie drażnić psów, bezpotrzebnie nie szczuć. Kodeks karny (§. 392) wyraźnie zabrania podobnego postępowania. Może bowiem być szkodliwem temu, na kogo się szczuje, jak i psu, który, mocno podrażniony, może ulegnąć wściekliźnie.

l) Do suk ciekających się należy w porę dopuszczać samce. Wszelkie wstrzymywania w tym względzie mogą być bardzo szkodliwe.

m) Nie pozwalać psom bez potrzeby i samopas biegać po polach, po za obrębem ogrodzeń. Łatwo z psem wściekłym zetknąć się mogą, ztąd i zakażenie. Oprócz tego pies po za domem, wygłodzony pożera co napotka, częstokroć rzeczy bardzo szkodliwe.

n) Psy złośliwe — tam, gdzie obecność ich dla stróżowania jest konieczną — upiąć na łańcuchu przy budzie, która powinna być zimą ciepła, a latem nie wystawiona na skwar słoneczny. Niemniej psy takie żywić dostatnio i poddawać obficie świeżej wody do picia, a przestrzegać, ażeby ich nie drażniono.

Przydarzają się u psów choroby, których objawy mogą być łatwo za objawy wścieklizny uważane, jak np. przy padaczce, tasiemcu i t. p. Jeżeli się nie jest całkiem pewnym, czy nie mamy tu właśnie z objawami niezaraźliwej choroby do czynienia, należy psa trzymać w zamknięciu i obserwować go z wielką ostrożnością, czy w dalszym ciągu wyraźniejsze cechy rozpoczynającej się wścieklizny nie wystąpią.

Aleksander Ubysz.

KORESPONDENCYE.

Gorlice d. 9. kwietnia 1889.

(Czy może być borsuk pokonany przez jednego tylko psa?)

Przeczytawszy w „Łowcu“ nr. 4. z dnia 1. kwietnia br. opowiadanie pod tytułem: „Borsuk przed trybunałem myśliwych“, napisane przez p. A. J. Tomaszewskiego, z humorem godnym wszelkiego uznania, nie chcę i nie mogę oponować przeciw skreślonym tamże poglądom, ponieważ stosunki moje były i są tego rodzaju, że nie mogłem i nie mogę badać właściwości borsuka. Chętnie też przyznaję, że jaźwiec pana Tomaszewskiego mógł być rzeczywiście unikatem pod względem łagodności i cnót rodu borsuczego. Atoli w jednym ustępie rzeczonego opowiadania nie mogę się zgodzić z zapatrywaniem pana Tomaszewskiego, który nie chce słyszeć o niemieckim wyżle „źrebcu“, podrzucającym paszczą swoją borsuka, jak piłkę do góry, lecz wypowiadając zdanie: „wątpię wszakże, iżby każdy borsuk okazał tyle podatności psu najbardziej rozwiniętemu“, nie dopuszcza możności pokonania borsuka przez jednego tylko psa. Ponieważ doświadczenie moje w tym kierunku poucza mię wręcz przeciwnie, przeto na dowód opiszę tu kilka zajść między moim wyżłem a borsukami, na które w swoim czasie także chętnie polowałem.

Wprzód jednak muszę podnieść niektóre ustępy z korespondencyj poprzednio w „Łowcu“ umieszczonych i opisujących polowanie na borsuki. Szanowny pan L. G. Dziubiński, opisując w korespondencyi, umieszczonej w „Łowcu“ nr. 2. z d. 1 lutego 1888., jak sam twiedzi, nigdy przedtem przezeń nie widziane polowanie z jamnikami na lisy i borsuki, powiada, iż jakiś tam niemiecki wyżeł, chwyciwszy w paszczę wykopanego z jamy borsuka, rzucił nim kilka razy o ziemię i położył kres życiu samotnika. Że ten niemiecki wyżeł uśmiercił borsuka na polowaniu w Biłoborszczy, mogę się zgodzić najzupełniej z panem Dziubińskim, a nawet pozwolę sobie twierdzić, że każdy pies dobrze rozwinięty, silnie zbudowany i posiadający tresurę chwytania przeciwnika za gardło, potrafi w pojedynkę zagryść każdego borsuka; ale ażeby to czynił z taką łatwością, jak to szanowny autor korespondencyi opisuje, i ażeby borsukiem rzucać był wstanie, wydaje mi się nieco problematycznem, chyba, że wyżeł ów był rzeczywiście co najmniej wielkości źrebca, jak to pan Tomaszewski przypuszcza, nazywając go trafnie „wyżło-źrebcem“ — gdyż wiadomo wszystkim, że borsuk w porze polowania jest tak ciężki, iż nawet silny mężczyzna nie bardzo łatwo podrzucać nim byłby zdolny. Również i szanowny pan J. H. wątpi o waleczności tego niemieckiego wyżła, a opisując w „Łowcu“ nr. 9. z dnia 1. września 1888. r. w sposób bardzo interesujący i z widoczną a niezbitą znajomością rzeczy, polowanie z jamnikami na lisy i borsuki, twierdzi, że jamnik nigdy borsuka na zęby nie zaatakuje. Niemniej wypowiadając zdanie: „radbym widzieć tego wyżła niemieckiego, co to paszczą jego borsuk, kilka razy rzucony o ziemię, żywot zakończył“ — każe poniekąd domyślać się, że nie wierzy wcale, ażeby się znalazł jakikolwiek pies zwykły, któryby bez pomocy, sam jeden, borsuka zagryść potrafił. Że borsuk jest nadzwyczaj cięty i dla atakującego psa niebezpieczny, to rzecz wiadoma, dlatego nikt, kto zna choć trochę naturę borsuka, zaprzeczyć nie będzie wstanie, że jamnik nie może borsuka w jamie zaatakować na zęby, ponieważ z powodu szczupłości miejsca nie jest w możności dopaść borsuka z boku i musi się ograniczyć tylko na jego paszczy, która, uzbrojona potężnemi zębami, przedstawia dlań niezdobytą twierdzę. Inna rzecz, zdaje mi się, byłaby, gdyby borsuk znajdował się na powierzchni ziemi; wtedy możeby i jamnik poważył się zaatakować go, choćby tylko z tyłu, bo ja się przekonałem, że borsuk tylko wtenczas staje odważnie do walki, gdy mu się uda tył zabezpieczyć. Na dowód tego, co twierdzę, opiszę tu parę pojedynków mego wyżła z borsukami, z których pies wychodził zawsze zwycięzko, a borsuk płacił życiem.

Przed dziesięciu laty miałem wyżła pod każdym względem doskonałego, pomimo, że nie był czystej rasy, tylko

bastard z matki „pointer“ i ojca kundysa. Był to pies wielkością zbliżony do „settera“, obdarzony niezwykłym wiatrem, silnie zbudowany i bardzo odważny, czy to w walce z drugim psem, czy też z dzikim zwierzem, a przytem, że się tak wyrażę, nadzwyczaj przytomny i zimnej krwi. Nie stchórzył nigdy i korzystał z każdego odsłonięcia słabej strony przeciwnika, aby go bezzwłocznie na ziemię powalić. Tresura jego, tak pokojowa jakoteż polowa, była do tego stopnia doskonałą, żem z nim formalnie jak z człowiekiem rozmawiał. Na dowód, że pod tym względem wcale nie przesadzam, ośmielam się tutaj przyznać, że jestem autorem rozprawy o tresurze psów, z której szanowna Redakcya „Łowca“ skorzystać i w kalendarzu myśliwskim na r. 1889 umieścić ją raczyła. Sam psa mego układałem i doprowadziłem go do takiej karności i ślepego posłuszeństwa, że na rozkaz rzucał się śmiało nietylko do ciężkiej walki z borsukiem, ale nawet tam, gdzie czuł instynktownie, że śmierć spotkać go może. Zechce może kto zapytać: Cóżto za myśliwy, co wyżła układa do polowania na borsuki? Odpowiem, że nie moja w tem zasługa. Uczyłem wprawdzie psa, jak ma powalić i brać przeciwnika. ale mi przez myśl nie przeszło układać go do borsuków. Do walki z borsukami zaprawił się na kotach, których wiele włóczyło się po polach, a które on z wielką pasyą mordował.

Otóż z tym to psem przechodziłem raz podczas jasnej, księżycowej nocy przez łąkę, położoną niedaleko lasu, i spostrzegłem żerującego borsuka. A ponieważ pies nie szedł za nogą, tylko biegał wolno, więc w tej chwili zaatakował borsuka, który dość szybko do lasu umykać zaczął, odcinając się od czasu do czasu psu, który mu na tyle jechał. Obawiając się, aby borsuk nie umknął do lasu, gdzieby atakowanie było o wiele trudniejsze, krzyknąłem na psa: trzymaj! a sam co rychlej zabiegłem borsukowi drogę od lasu. Pies, chwyciwszy borsuka za grzbiet z tyłu, osadził go w miejscu, a gdy borsuk, ciągniony w tył, zaczął obracać łeb, aby się od psa uwolnić, dodałem psu animuszu rozkazem: bierz! Wtedy pies puścił borsuka z tyłu i uderzywszy nań piersiami, przewrócił na grzbiet. Przy tej sposobności dostał cięcie w nogę, zaskomlał, lecz mimo tego nie odskoczył, tylko w tej chwili chwycił za gardło i teraz dopiero rozpoczęła się straszna walka na życie lub śmierć. Pies i borsuk skłębili się w taki sposób, że przez dłuższy czas nie mogłem ich rozróżnić i widziałem tylko taczającą się kupę. Po chwili dopiero spostrzegłem, że pies podniósł się na nogi, a trzymając borsuka za gardło cofał się w tył i pociągał go za sobą, borsuk zaś chwycił psa przedniemi łapami za mordę i starał się ją od gardła oderwać. Obawiając się, żeby borsuk psu ócz nie wyłupił, chwyciłem za strzelbę i chciałem strzelić w brzuch rozciągniętego borsuka, ale w tej chwili zostałem powalony na ziemię, gdyż borsuk, wytężając ostatki sił podniósł się trochę i zwalił się następnie z psem pod moje nogi. Zdaje mi się, iż byłoby zbytecznem opisywać, żem się zerwał jak oparzony i odskoczywszy na bok, krzyknąłem na psa: puść! bom przypuszczał, że w tej walce może sam ulegnie. Pies jednak nie puścił borsuka zaraz, lecz dopiero po chwili i zatoczywszy się jak pijany, rozciągnął się na ziemi wszystkiemi czterma nogami w oddaleniu 3 - 4 kroków od borsuka, a mając go ciągle na oku, zaczął mocno sapać. Po niejakim czasie borsuk się poruszył, a pies w tej chwili zerwał się na nogi i chwyciwszy go ponownie za gardło, targał i cofając się wstecz włóczył za sobą, ale go nie podniósł, jak robił zwyczajnie z kotami, lub przy aportowaniu zająca. Następnie odskoczył i rozciągnął się znowu jak poprzednio, oddychając ciężko. Taką samą operacyę powtórzył jeszcze raz trzeci, a potem dopiero przyszedł do mnie i dysząc mocno położył się koło nogi. Przez kilkanaście minut jeszcze obserwowałem borsuka, czy się nie ruszy, ale nadaremnie; borsuk już nie żył.

Odkrywszy w moim psie tak niezwykłe zalety, wybrałem się w kilka dni później do lasu już z umysłu na polowanie na borsuki i upolowałem znowu jednego, przy czem jednak nadmienić muszę, że w lesie walka psa z borsukiem odbywa się nieco odmiennie. Wszedłszy w las wysokopienny i dość rzadki, puściłem psa od siebie, rozkazując: Idź, poszukaj! Wiedziałem wprawdzie, że pies za zającem nie pójdzie bez rozkazu, lecz nie byłem pewny, czyli będzie wiedział, o co mi idzie. Niepewność ta jednak ustąpiła wkrótce, gdyż najpóźniej w pół godziny od wejścia do lasu usłyszałem psie hasło, tj. krótkie pojedynczo od chwili do chwili powtarzające się szczeknięcie, jakiem pies zwył był dawać mi znać, jeżeli kota w polu wyszukał i w miejscu osaczył. Na to hasło odpowiedziałem psu wołaniem: pilnuj! i czekaj! Zdążając szybko w kierunku, gdzie pies naszczekiwał, zbliżyłem się do psa na 20 kroków i zobaczyłem go stojącego w oddaleniu 4 do 5 kroków przed borsukiem, który, oparłszy tył o dość grube drzewo, siedział na zadzie i oczekiwał ataku. Będąc mniemania, że pies jedynie tylko z powodu oczekiwania na mnie, borsuka na zęby nie zaatakował, wydałem natychmiast rozkaz: bierz! Pies posunął naprzód, lecz przywitany przez borsuka niezbyt uprzejmie, zaskomlał i odskoczywszy, stanął znowu w pozycyi poprzednio zajmowanej. Widząc, że pole do walki jest odpowiednie i borsuk po bokach nie jest niczem kryty, ponowiłem rozkaz: bierz! i trzymaj! Pies przyskoczył do borsuka, lecz tak samo jak poprzednio, cofnął się napowrót. Zachęcany atoli ciągle przezemnie wyrazami: bierz! trzymaj! ponawiał jeszcze parę razy ataki z boku, ale zawsze bezskutecznie. W końcu obmyślił widać inny plan atakowania i postanowił podstępem wywabić borsuka z jego silnej pozycyi, gdyż, naszczekując, zbliżał się doń co chwila i nie zaczepiany przez borsuka, uciekał od niego mniej więcej na 8 do 10 kroków, poczem pędem wracał znowu do borsuka, szczekając mu formalnie w sam pysk. Borsuk, ośmielony widać udanem tchórzostwem psa, zaczął parskać i bić psa przedniemi łapami w ten sposób, jak to zaatakowane koty czynić zwykły, a widząc, że pies uciekał zawsze po każdem takiem parsknięciu, nabrał śmiałości, opuszczał zajętą pozycyę i gonił za psem parę kroków. Na to tylko zdaje się pies oczekiwał, gdyż, skoro borsuk oddalił się raz jeden może na 5 kroków od drzewa, pies natychmiast się obrócił, a przyskoczywszy do borsuka uderzył go piersiami, przewrócił i w tej chwili uchwycił za gardło. Teraz walka odbyła się tak samo prawie, jak z pierwszym borsukiem, z tą tylko różnicą, że pies operacyę duszenia przedsiębrał aż 4 razy, w czem mu nie przeszkadzałem bynajmniej, bo to było dla mnie nowością i chciałem zyskać przekonanie, czyli pies sam bez pomocy człowieka i z jakim mozołem borsuka pokonać potrafi. Z tej walki nie wyszedł pies zupełnie cało, gdyż miał rozpłatane ucho, które mu borsuk najprawdopodobniej podczas tego, kiedy go pies za gardło trzymał, rozedrzeć musiał.

Oprócz tych dwu, zagryzł mój pies jeszcze kilka borsuków i nie było ani razu wypadku, aby sam jeden borsuka wziąć i pokonać nie potrafił, przy czem zauważyć mi tylko wypada, że operacyę duszenia przedsiębrał czasem mniej, czasem więcej razy, z czego wnoszę, że borsuk nie może być nigdy od razu do tego stopnia uduszony, aby się już wcale nie ocucił. Z tego więc, czego mnie własne spostrzeżenie nauczyło, ośmielam się twierdzić, że jakikolwiekbądź

pies, byle był silny, odważny i dobrze tresowany, każdego borsuka zaatakować i sam jeden pokonać jest w stanie, jeśli borsuk znajduje się na otwartem miejscu i nie ma niczem zabezpieczonego tyłu; w przeciwnym razie wszakże nietylko z pp. J. H. i A. J. T. zgodnie będę wątpił, ale nawet poważę się twierdzić na własną rękę, że nie ma psa, któryby potrafił borsuka siedzącego w krzaku, lub mającego tył oparty o drzewo, sam jeden zaatakować i wyjść z walki zwycięzcą.

Seweryn Kisielewski.

Rabbe w kwietniu 1889. r.

(Sprawozdanie delegata gal. Tow. łowieckiego.)

U nas w górnem, Beskidowem Sanockiem, to zupełnie inaczej, niźli na równinach. Pod względem łowiectwa zmuszeni jesteśmy trzymać się dawnego zwyczaju i polować z psami. Inaczej niesposób. Nie jest to zacofaństwo lecz konieczność, bo górzyste i przepaściste knieje gór naszych uniemożliwiają polowanie z nagonką.

Pewnego roku przybył do nas gość znakomity i przywiózł z sobą jakąś znakomitość nieswojską, która miała urządzić polowanie. Zebrano około 300 ludzi do nagonki. I cóż był za skutek? Po całodziennym trudzie ubito... jednego zająca.

Na niższych górach naszych stan sarn i zajęcy dobry. W właściwym zaś Beskidzie zajęcy bardzo mało, a sarn na niższych stokach niewiele. Zato stan jeleni — śmiało mogę powiedzieć — świetny. Od założenia gal. Tow. łowieckiego, które czuwa nad wypełnianiem łowieckich ustaw, jelenie, których przedtem bardzo było niewiele, dziś na przestrzeni kilkumilowej żyją w kilku stadach, po kilka i kilkanaście sztuk liczących. Mniej więcej będzie około 60 sztuk. Dalsze poza moim rejonem Beskidy, w okolicy Turki i Łomny, obfitują niemniej w miejscowe stada jeleni, czego dawniej nie bywało. Jest to, zdaniem mojem, tryumf nielada. I niedźwiedzi mamy dość.

Rzuciwszy w krótkości rys naszego zwierzostanu, wybaczy Sz. Redakcya „Łowca“, że przytoczę kilka własnych moich myśliwskich wydarzeń.

Personal mój łowiecki w Rabbem i Stoposianach składa się z trzech osób, a mianowicie: Jasiek, mimo lat 60 i potężnej łysiny tak zdrobniale nazwany, pełni w moich Beskidowych ostępach funkcję leśnego. Jasiek, mimo, że zna praktyki grubej zwierzyny na wylot, nigdy strzelby w ręku nie miał. W las, nawet podczas polowania, chodzi tylko z kijem i nieodstępną każdego górala towarzyszką — siekierką. Dalej Aleksy Tarnawski, leśniczy, i mój myśliwy Johann Götz. Oprócz trojga ogarów, posiadam, a względnie posiadałem „Rozboja“. Była to znakomitość w swoim rodzaju, jakkolwiek rodem jak najzwyklejszy nasz chłopski kundel, o długiej, rudej sierci.

Gdybym był rysownikiem, chętnie odrysowałbym śmieszną postać „Rozboja“. Był on pokiereszowany przez dziki i niedźwiedzie na całem ciele, wyglądał jak połatany. Bez jednego ucha, które urwał mu niedźwiedź i bez prawego oka, bo mu je „wypuścił“ ryś postrzelony. I bez ogona, który mu ucięto. Do tego wszystkiego przednią nogę miał grubszą i sztywną, albowiem jeleń końcem „raci“ przedniego „badyla“ naruszył mu żyły.

Z tymi towarzyszami, wczesną jesienią z. r. poszedłem w Beskid na łowy. Jasiek wiódł Rozboja na sznurku, a Götz zesforowane ogary. Po ujściu sporej przestrzeni, nie zamyślając jednak tu psów podkładać, począł się Rozbój na sznurze naciągać. Mówi Jasiek:

— Oho, staryj szoś niuszył, zabahaje mu sia w lis, to ne na durno.

— Puszczaj go! - mówię.

Posztykutał jak stary inwalida na szczudle. Po niedługiej chwili począł bąkać grubym głosem. A no, rozejść się nam. Ja tu zostanę, Johann pójdzie w tę stronę, a Tarnawski w inną.

Puszczone ze sfory ogary, wnet złączyły swe głosy z basem kundla. Co u licha gonią — myślę sobie — gon idzie zbyt powoli. Naraz pada strzał jeden, po nim drugi. Psy poczęły w miejscu naszczekiwać zawzięcie. Biegnę co tchu, aż pada trzeci strzał i wnet ozwał się głos trąbki Tarnawskiego: „leży, leży!“ Dobiegam — leży ogromny, czarny niedźwiedź, a na nim Rozbój, żrąc go zawzięcie. Ogary, jakkolwiek ostre, skubią tylko za szarawary.

Niebawem nadbiegł Jasiek spocony mówiąc:

— A ne warewjem (nie mówiłem), szo staryj majster.

W parę dni potem, w mojej nieobecności, przed samym tylko Rozbojem ubił Tarnawski ogromną niedźwiedzicę.

— Śmieszna to była rzecz — opowiadał mi Tarnawski. — Wyszedłem w Beskid, Rozbój nypał pomiędzy jaworami — naraz uf! uf! — a pomaleńku, z partesem. Podbiegam, kroczy niedźwiedzica powoli, a za nią Rozbój. Co ją szarpnie za szarawary, ona się odwróci, zamruczy, machnie przednią łapą, starając się go zachwycić. Ale nie głupi, wnet mimo kulawizny szybko odskoczy. Do syta się tej hecy napatrzywszy, wymierzyłem w komorę i położyłem niedźwiedzicę.

Tegorocznej zimy u was spadły ogromne śniegi, a cóż dopiero u nas, w dodatku w Stoposianach, u stóp Beskidów. Wchodzi Jasiek z raportem, że otropił ztąd niedaleko dzika. Ano Rozbój na sznur, ogary na sforę i ruszam samoczwart w Beskid.

— A gdzież ten dzik obległ?

— Nedałeczko! — odpowiada Jasiek.

Nedałeczko — a tu uszliśmy z ćwierć mili, po pas w śniegu, i pod górę się drapiąc w dodatku. Wyznam otwarcie, że jakkolwiek przywykły jestem do podobnych chodów, ustałem w końcu. Mówię tedy:

— Idźcie sami, ja tu zostanę.

— A ot šlid je — mówi Jasiek.

Podchodzę — taż to trop jelenia. Widocznie Jasiek, nie badając dokładniej, wziął wyżłobienie w głębokim śniegu za „koryto“, które dziki „gęsiego“ idąc uczyniły.

Spuszczono Rozboja i ogary poszły za tropem w ostęp, „Pszczelin-mostek“ zwany. Po drugiej stronie, za potokiem znajduje się głęboki jar „Biłki“ zwany. Jar ten głęboki, otoczony ze wszech stron stromemi ścianami skalistemi, bez śniegu trudny do przejścia, a cóż dopiero zawiany na dwa łokcie. Mówię tedy ludziom:

— Jeśliby jeleń wszedł w jar, nie strzelać, bo jakże go ztamtąd wydostać?..

Psy ruszyły zwierza. Po gonie wnet poznałem, że to jeleń być musi. Chodził po szczytach, i co dziwne, wracał ku jarowi. Naraz poczęły psy naszczekiwać w jarze „w miejscu“. Widocznie osaczyły jelenia. Choralne naszczekiwanie przeszło w duet jedynie. Co by to było? myślałem. Padł strzał jeden i drugi. Kroczę w stronę jaru i zsuwam się po brzegu w jego wnętrze.

Zastałem tam już całe konsylium nad martwym jeleniem i dwoma pogruchotanemi ogarami. Jednego z nich rogal przebił „kolcami“ swego wieńca. Drugiego wypatroszył racią.

Wydostać jelenia z jaru, jak przewidywałem, było niesposób. Toż kazałem go „obielić“, głowę wraz z „wieńcem“ odciąwszy, i ruszyliśmy ku domowi. Jaśkowi żal się zrobiło mięsa, toż sporo go nakrajawszy, ciągnął za nami. Ustał jednak w końcu pod tym ciężarem, był zmuszony go poniechać. Jeleń ubity był „kapitalny ósmak“.

W miesiącu styczniu br. zjechałem do Stoposian w chęci zapolowania na dziki w Podbeskidowej kniei. Ogara, który mi jedyny pozostał i Rozboja, podłożył Jasiek we wskazanem miejscu. Ruszyło stadko dzików. Po niedługiej jednak chwili słyszałem tylko głos ogara, Rozbój zamilkł. Dziki przeszły w inną stronę, więc jak po zwyczaju samoczwart, zabraliśmy się, żeby inne zająć stanowisko, gdy nadchodzi Rozbój chwiejnym krokiem i obległ w końcu.

— Źle z nim — mówi Tarnawski. — Pomimo, że nigdzie nie ranny, a ledwie żywy.

Poniechaliśmy dalsze polowanie. Po kolei na rękach Rozboja niosąc, dążyliśmy do domu. Po paru dniach, śród częstych wymiotów krwią, skończyło biedne psisko swój pracowity zawód, który pełnił całych lat 13.

Prawdopodobnie dzik „gwizdem“ w bok ugodzić go musiał, z czego powstały krwawe wymioty i śmierć.

Rysiów w samym Beskidzie po zwyczaju w zimie mniej bywa. Przechodzą w dalsze knieje, a często nawet w dalekie strony, szukając żeru, którego u nas w szczytnym Beskidzie, jak sarn lub zajęcy, w letnich miesiącach niewiele, a w zimie całkowicie nie ma. *Adam Zientarski.*

Kraków d. 10. kwietnia 1889.

(Połów kwiczołów.)

W pierwszych dniach marca nadciągnęły w bardzo znacznej liczbie kwiczoły w towarzystwie paszkotów, jemiołuchów i drozdów, i to tak w naszą podkarpacką okolicę, jakoteż i w okolice Kielc w Królestwie polskiem. Nie zimowały widocznie w okolicach w żer obfitych, gdyż przybyły wychudzone. Żadnego roku nie napotykałem między niemi tak licznie jak tej zimy okowiaków *(Turdus torquatus, Ringdrossel)*, których nasi Górale „kwiczołami węgierskiemi“ nazywają. W przeciągu miesiąca marca kupiła jedna tylko firma krakowska przeszło 5.000 par kwiczołów.

Bardzoby było pożądanem, by ustawa wzięła i biednego kwiczoła w ochronę, jeśliby już nie dla niego samego, to dla miłości naszych lubych śpiewaków: kosów i drozdów, które setkami padają przy wiosennym połowie kwiczołów, dusząc się na rozstawionych na kwiczoły sidłach.

W ogóle zauważyć muszę, iż władze w naszych podkarpackich miejscowościach bardzo obojętnie na przestrzeganie ustawy łowieckiej patrzą, albowiem Górale mordują o każdej porze wszystko, co im pod lufę lub w sidła wpadnie. A że to lud bardzo sprytny, więc szkody, które wyrządza w zwierzostanie naszych pięknych Karpat są olbrzymie. *S.*

Ostrów w marcu 1889.

(Z Rozwadowskiej kniei.)

Przy końcu lutego przez pięć razy i kilka razy z początkiem marca, w ogóle przez dwa tygodnie polowaliśmy w kilka strzelb w rozwadowskich lasach, u ks. Hieronima Lubomirskiego.

Polowania tutejsze, zawsze tak świetne, na kozły tego roku nieszczególnie wypadły. Polowaliśmy na nie tylko trzy razy w uroczej kniei, siedzibie prawie wszystkich naszych zwierząt łownych, bo prócz niedźwiedzia, łosia i rysia, spotkasz wszystkie inne. Zabłąka się tu jeleń, zajdzie i wilk, rosyjski poddany — i wnet zapytany przez myśliwego o paszport, nie mogąc się nim wykazać, przepłaca życiem swą nieostrożność. Na wiosnę niezliczone roje słonek, toki głuszców i cietrzewi, dzików zawsze niezliczona ilość, sarn mnóstwo, a nie braknie lisów i zajęcy. Polując w łozach nad Sanem na lisy, widzieliśmy w każdym miocie po 40 do 50 zajęcy.

Bo też wygodne ma zwierzyna mieszkanie w szesnastu tysiącach morgów starego szpilkowego lasu!

Wielka część kniei robi wrażenie poleskiej, wodą zalanej puszczy, są tu bowiem tak zwane ługi, tj. błota. Jeżeli te ługi nie zamarzną, to o polowaniu nie ma mowy, bo żaden człowiek, ani koń parę kroków ujść nie zdoła, żeby się nie zapadł, w niektórych miejscach nawet zupełnie. Zato na wiosnę roje kaczek i krzyków wyprawiają wesołe harce w cieniu odwiecznych sosen. W miejscach więcej dostępnych śliczne polowania błotne.

Rozwadów, to raj dla myśliwego! Nie braknie tu polowania w żadnej porze roku.

Trzy są przyczyny niepowodzeń w tegorocznych polowaniach na kozły. Zeszłoroczna ciężka zima, a później powódź w skutek zatoru na Sanie, zniszczyła świetny stan sarn; tegoroczne zaś ogromne śniegi i częste zadymki nie przyczyniły się do dobrego rezultatu polowań. Zawsze jeszcze widzieliśmy sarn mnóstwo, lecz z powodu ogromnych śniegów wychodziły flankami, lub wracały na nagonkę. Nie żałujemy jednak wcale, że się nam z rogaczami nie udało, bo za to polowanie na dziki świetnie się powiodło.

Oto wykaz zabitej przez te dwa tygodnie zwierzyny:

30 dzików, 10 lisów i 11 kozłów, z których jeden, zabity przezemnie, zupełnie krasy. Wspaniałe to zwierzę w dziwny sposób ubrała swawolna przyroda. Cały jest nakrapiany białemi plamami, lewa strona głowy zupełnie biała, nawet jedna tylna raciczka biała. Istny tarant! Tego kozła widywali leśni przez lat kilka, nikt jednak się z nim na stanowisku dotąd nie spotkał. Leśni utrzymują, że jest jeszcze drugi podobny, tylko z jedną dużą podobną łatą na boku.

Prócz tych dwóch kozłów, żyje tu jeszcze jeden wielki oryginał. Jest nim ogromny odyniec, głuchy jak pień. Tak przynajmniej utrzymuje leśny Gorczyca.

Gorczyca, to znane nazwisko w całem rozwadowskiem państwie, prosty mazur. Nikt jednak lepiej nie obtropi dzików, nikt lepiej myśliwych na stanowiskach nie ustawi, — on wie, gdzie kiedy każdy dzik z osobna jest, gdzie żeruje i nocuje — słowem, jest to unikat w swoim rodzaju.

On to wynalazł głuchego dzika — i rzeczywiście musi on być albo głuchy, albo jakiś skończony idyota! Można przyjść do niego z tyłu tak blisko, że go uderzyć można, wtedy wstanie i pójdzie kilkadziesiąt kroków dalej.

Polowaliśmy na niego kilka razy, ale bez skutku, bo nieraz zostawiali go chłopcy w gąszczu, a czasem bity kijami po grzbiecie, wracał wolno w tył miotu. Wtedy wielki krzyk i radość pośród chłopców, bo ci pewni, że on taki łaskawy, biegną do niego i kijami biją, nic go się nie bojąc.

Oto słów parę o rozwadowskich polowaniach tej zimy.

Albert B. Mniszek.

Warszawa d. 13. kwietnia 1889.

(Towarzystwo łowieckie.)

Wczoraj odbyło się tu organizacyjne posiedzenie nowego Towarzystwa łowieckiego, które jest wprawdzie tylko filią ces. Towarzystwa racyonalnego myśliwstwa w Petersburgu, lecz

dzięki dodatkowym postanowieniom statutów może się rozwinąć dość samodzielnie w obrębie Królestwa. Tak n. p. w myśl §. 23. rozporządza filia tutejsza całkiem samodzielnie funduszami, a Towarzystwo centralne nie miesza się wcale do rachunków, lecz w zamian też nie przyjmuje żadnych zobowiązań za oddział.

Na wczorajszem zebraniu uchwalono wysokość wkładek, a chcąc zjednać Towarzystwu jak największą liczbę członków postanowiono, aby roczna wkładka, mogąca być wnoszoną w ratach kwartalnych, wynosiła tylko 12 rs., wpisowe zaś jednorazowo 10 rs.

Ponieważ Towarzystwo, oprócz głównego celu, będzie miało poniekąd charakter klubowy, więc postanowiono wynająć odpowiedni lokal, w którym się będą znajdowały: biblioteka, muzeum, wzorowa strzelnica, kolekcya broni, wszelkich łowieckich i rybackich przyrządów, zwierzyniec i hodowla rasowych psów myśliwskich. Wszystkie zajęcia i ćwiczenia, a nawet rozrywki członków klubu mają odpowiadać ściśle celowi i nazwie Towarzystwa. Nadto Towarzystwo będzie ułatwiało i pośredniczyło w nabywaniu broni, psów, koni, dzierzawie polowań i t. p., a wreszcie urządzi sklep, w którym będzie sprzedawana po umiarkowanych cenach wszelka bita zwierzyna na wagę, tak w całości jak i częściowo.

Wzorowa strzelnica ma się zaopatrywać w okazy broni najlepszych systemów, niemniej urządzać strzelania konkursowe. Na taką strzelnicę wybrano już miejsce na placyku nad Wisłą, naprzeciw ul. Lipowej, a ogólne zgromadzenie upoważniło wczoraj zarząd do porozumienia się z magistratem o oddanie placu Towarzystwu na własność lub w długoletnią dzierżawę.

Skład obecnego zarządu stanowią: prezes, jenerał-lejtnant Sidorow, sekretarz pułkownik Małychin, kasyer p. Józef Rawicz, członkowie rady: pp. Ksawery hr. Branicki, Aleksander Szwede, Kappher, jen. Meyer, Karol Temler, Artur Śliwiński, baron Bruining, pułkownik Kulikowski i hr. Uwarow.

Ponieważ ministeryum spraw wewnętrznych opracowuje obecnie nowe przepisy o polowaniach i ochronie zwierzyny w całem państwie, przeto nowo wybrany zarząd został upoważnionym, ażeby przesłał jak najspieszniej dezyderata warszawskiego oddziału w przedmiocie obostrzeń przeciw tępieniu zwierzyny.

Główny cel Towarzystwa określonym jest w statutach tegoż jak następuje:

Użycie wszelkich środków, dążących ku rozmnożeniu zwierzyny, tępienie szkodliwych zwierząt i ptaków, oraz zaprowadzenie racyonalnego myśliwstwa w kraju, tak, aby przez podniesienie krajowej fauny i zwiększenie liczebne zwierzyny, wytworzyć nową gałęź przemysłu i handlu, przynoszącą właścicielom gruntów pewien stały dochód.

K. W.

Z Kongresówki w marcu.

(Już po łowach!)

Ani wiadomo, kiedy się cała uciecha skończyła!

Jak z bicza trzasł i skończył się nasz karnawał, a dziś, oczyściwszy przykładnie broń i zrobiwszy rachunek sumienia ubitej zwierzyny, siadaj bracie u pieca, (bo kominy poznosili) i słuchaj powiastek.

Mam na języku jedną, tylko, że to nam wieczne czynią zarzuty, iż przesadzamy, i kują rozmaite przysłowia, iż myśliwy kłamać musi. Wierutna bajka. Zresztą, alboż,,Panie kochanku" nie kłamał, aż pan Łopuski kraśniał od wstydu, a przecież miłości mu to nie odejmowało i szacunku. I bardzo naturalnie, co innego kłamstwo, a co innego fantazya i humor. Dla tych, co wiecznie smarzą mózgi nad konceptem, aby nim białogłowę na salonie rozweselić, wszelka swoboda wydaje się przesadą, ale my, cośmy się oswoili z muzyką wiatru, naszczekiwania ogarów, szumu wierzchów drzewnych i huku strzałów myśliwskich, dla nas styl oto swobodny i nie krępowany dziwacznością jest wszelakiej folgi granica. Toż przecież każdy jąkała mówi o szybko mówiącym, że blagier, a każdy, co mu ćwiekiem fantazyę przybiło, o myśliwym, że kłamca.

Chciałbym słuchać takiego waszecia, jakiby miał rezon bez głowy!...

Ale co się tu przekomarzać, jest, jak być powinno i kwita. Kłamią ci najbardziej, co drugich w błąd wprowadzają. Wpadło mi w ucho narzekanie, iż kuropatwom naszym sroga dokucza zima i że biedactwo garnie się na podwórza chałup. Dobrze to jest opłakać los ptaka, lepiej ano wiedzieć, jak się rzecz ma..:

Kuropatwy posiadają, jak wszystkie żyjące stworzenia, a może i w wyższym od innych stopniu, instynkt samozachowawczy. Mało więc mają ufności do ludzi i ostrożnie zbliżają się do mieszkań ludzkich, imając się tej ostateczności, gdy głębokie śniegi pokryte są na swej powierzchni krustą, t. j. lodowatą powłoką, która powstaje, gdy po deszczu mróz nastąpi. Przy takim stanie kuropatwy nie mogą odgrzebać śniegu dla dostania się do pożywienia, a wtedy fałszywi opiekunowie, chciwi niegodziwego zarobku, porzuconem w pewnej odległości ziarnem tworzą nęcącą ścieżkę, która głodne ptaki doprowadza przez uchylone od pola wrota stodoły do jej wnętrza, gdzie zdradziecką giną śmiercią. Ale żeby kuropatwy bez takowego podstępu zjawiały się na podwórze chaty — musiałaby to być chata odległa od wsi, odosobniona, bez psa, kota i wszelakiej istoty, którąby w porze zimowej mogła zdradzać zaufanie płochliwego jak panna ptaka.

Na zimę nie wiele tych stworzeń może być pod Warszawą, mniej niż gdzieindziej. Ale i nie dziwota, bo przecież każdy, co umie pudłować, dzierżawi sobie polowanie pod miastem i czyni uciechę w domu.. kostiumem myśliwskim, a później rozbija stadka, wpadające na strzał lepszych nemrodowiczów i sam przynosi trofea... z za Żelaznej bramy. Gdyby nie nasz wstręt do cyfr, przekonalibyśmy, iż już w połowie września wypada jedna kuropatwa na trzech dzierżawców, a jeden zając na dziesięciu!...

Jak dotąd zmartwienia nie ma, bo nie było krusty, a gdym przedsiębrał drogę aż do Aleksandrowa, na całej przestrzeni widziałem stada przykładnie żerujące...

Wpadłem w owo gadanie o kuropatwach, bo lamentacye na ich rachunek właściwej rzeczy mylą jądro, a idzie o rzecz ważniejszą, o ten bilans, który należałoby zrobić w myśliwski popielec.

Mawiano przysłowie, powtarzane synowi: ,,kto poluje i rybi, tego chleb chybi". Na dwoje babka wróżyła, możnaby odpowiedzieć, bo wszystkiego można spróbować, jeno w miarę, i nikogo chleb nie chybił, kto całego wyłącznie czasu nie kładł w polowanie i kto kult ten cały porządnie prowadził. Zdarza się wszelako, jak oto jednemu z moich znajomych nawet, który rzecz całą po dyletancku traktuje i np. notatnik myśliwski wcielił do... kalendarza. Ma też i notatki takie: Zapisał np. w r. 1859. d. 22. listopada: ,,Wielkie polowanie u p. Rajskiego, ruszono pięć dzików, ja utłukłem maciorę i miałem dnia tego podwójną radość, bo wróciwszy

do domu, dowiedziałem się, iż srokata świnia dała mi 10 prosiąt, z których dwa pójdą na imieniny Basi, a reszta na chowanie, bo to dobre gniazdo.“ Gdzież tu zestawienie! Boże odpuść takie myśliwstwo!

Albo znów tenże w kalendarzu (rozumie się Ungra) zapisał później: „Wczoraj jako w wigilię Narodzenia Pańskiego próbowaliśmy szczęścia w pięć strzelb z 30-ma nagonki; w sześciu miotach ruszono 3 zające, z tych ja ubiłem jednego, a dwa poszły zdrowe. Z tego wróżyć sobie mogę szczęście na rok przyszły.“ Przy takiej ilości zwierzyny wróżba p. A. z pewnością zawiodła. Już w roku następnym nie ma wzmianek o polowaniach.

Więc jako w każdem dobrem gospodarstwie, tak i w myśliwstwie, gdy się zawiesi broń na kołku, trzeba skrupulatnie zapisane zsumować i z bilansu preliminarz ułożyć, aby w następnym sezonie w palce nie stukać. Kto szanuje rzecz samą, porządnie czyni koło niej, ten jest i pomocą dla innych z czego i ja korzystam.

Po ciężkiej i śnieżnej zeszłorocznej zimie, w minionym obecnie sezonie, ilość zwierzyny dla małego polowania znacznie się zmniejszyła; przyczyniły się do tego w wielu miejscowościach potężne grady, spadłe w czerwcu i lipcu, to jest właśnie w czasie lęgu ptactwa i zajęcy. Rozsądni myśliwi pohamowali namiętność, a owocem oszczędności będzie, zdaje się, obfity plon przy rozpoczęciu przyszłego polowania.

Z radością też widziałem, co mile tu zapisuję, w bardzo wielu miejscach pozakładane w polach remizy, świadczące o troskliwości tych obywateli, którzy pojmują, że przy dobrych chęciach można sobie zapewnić korzyść z przyjemnością.

Gdzie gospodarowano jak się należy, tam i owoce były dodatnie, a w guberniach: kaliskiej, kieleckiej, piotrkowskiej i warszawskiej zaproszeni przekonali się o prawdzie tego twierdzenia. Pomimo więc katastrof przypadkowych, etat zwierzostanu zawsze utrzymany być może i po 200 zajęcy w ciągu dwóch dni na takich polowaniach ubić można, polując raz do roku. Inaczej z sarnami, których jest niewiele; wypadałoby przed rozpoczęciem polowania określić, ile sztuk wolno zabić, nawet i kozłów.

A kiedym już wpadł w ferwor narzekania, powiem, że mi na sercu ciężą zbyt małe kary, nakładane za kłusownictwo i za tępienie zwierzyny w niewłaściwym czasie i niedozwolonemi środkami.

Francya, Niemcy i Austrya surowo takie przewinienia karzą, ale też mają zwierzyny podostatkiem... nawet dla nas.

Zawszeć to piękny czas naszego karnawału, a chociaż niema posadzki froterowanej, jeno śnieg biały krasi pole, chudych tancerzy zastępują wysmukłe sosny, a krzaki sośniny wyglądają jak panny przysadziste, jednak taniec przy muzyce ogarów, pieszczących uszy w dobranym kwartecie głosów, taniec z grubym zwierzem, ma swój urok, jakiego nie da najjaskrawsze oświetlenie salonu!

Ucichło w lesie, głucha cisza zalegnie lasy i zagaje, przerywana jedynie skrzekiem sojek, stukaniem dzięciołów, chrapliwem krakaniem wron i gruchaniem gołębi.

Poszukiwanie miejsca na gniazda i pokarnawałowe konkury!

Nudno bez pola i strzelby, pies się nudzi i pan niewesoły... A gdy w dobrej kompanii zasiędzie się do stołu i podadzą srebrny kubeczek do wódki, mimowoli się przypomina, jak po zejściu ze stanowiska przy niej właśnie opowiadano dykteryjki. Mówiono, iż niejaki M. setnie kłamał; opowiadał przeto, że gdy ze strzelcem i drugim przyjacielem płynęli po jeziorze, wypadł mu róg z prochem.

— Strzelec buch w wodę po róg, a ja w gawędę. Zagałem się, a jego nie ma. Patrzę, a ten szelma przesypuje proch pod wodą z mego rogu w swój..

Ot, skłamał po radziwiłłowsku, ale był chłop uczciwy i prawy, jako szkło czysty, miał humoru wiele!

Okropne nudy, trzebaby chociaż zjeść... bigosu, zawszeć to coś myśliwskiego... *Jor.*

Sprawozdania łowieckie.

Uzupełniając sprawozdania nasze z upłynionego sezonu kniejowego, podajemy jeszcze następujące relacye:

— W Bratucicach pod Słotwiną, dzierżawionych przez krakowską Spółkę myśliwską, polowano przez trzy dni w grudniu z. r. i ubito 180 zajęcy, 18 kozłów, 12 lisów i 2 jastrzębie. Toż samo towarzystwo polowało następnie w Jodłówce, gdzie w jeden dzień zabito 97 zajęcy, 11 lisów i 7 rogaczy.

— W Tarnowie, u ks. Eustachego Sanguszki, na polowaniu dwudniowem w grudniu z. r. ubito w siedm strzelb 14 kozłów, 7 lisów i 50 zajęcy.

— W Krzeszowicach, u Artura hr. Potockiego, na polowaniu, które się odbyło dnia 11. grudnia z. r. zabito w ośm strzelb 80 zajęcy, 2 rogacze, 1 kuropatwę i 1 cietrzewia.

— W Wysocku, u hr. Stefana Zamojskiego, na polowaniu pięciodniowem z końcem grudnia, padło 341 zajęcy, 24 rogacze, 19 lisów, 5 dzików i 1 jarząbek.

— W Jabłonnie, u hr. Augusta Potockiego (w Królestwie polskiem) na trzydniowem polowaniu z końcem grudnia padło 5 dzików, 3 rogacze, 1 lis, 266 zajęcy i 2 kuropatwy, ogółem 277 sztuk zwierzyny, do której dano 596 strzałów.

KRONIKA.

Niezwykły okaz. Z Sieniawy donosi nam p. Czupa, że d. 11. kwietnia widział kozę z koźlęciem, które nie mogło mieć więcej nad dwanaście dni. Jest to wypadek wielce ciekawy, gdyż sarny, jak wiadomo, kocić się zwykły dopiero w maju.

Główny ciąg słonek tej wiosny, szczególnie w borach szpilkowych, był już w dniach 28. i 29. marca, pomimo, że grube śniegi leżały jeszcze po lasach. Wszystkie późniejsze ciągi, na które się myśliwi wyprawiali, były już tylko częściowe i bardzo nieliczne. Prosimy szanownych przyjaciół naszego pisma o szczegóły z różnych okolic co do ciągu słonek, gdyż badanie tego zagadkowego ptaka zawsze jeszcze daje sposobność do ciekawych spostrzeżeń.

Pustynnik. Rok właśnie mija, gdyśmy pierwsi podali wiadomość o niezwykłym przelocie pustynnika *(Syrrhaptes Pallasii)* przez nasz kraj. Później dochodziły nas rozpierzchłe i nie zawsze dość ścisłe wiadomo-

ści, że osiadł, że się gnieździ, że wywiódł młode. Z nadejściem zimy cichły te wieści coraz bardziej, a obecnie ani słychać o pustynniku, czy przezimował, czy się gdzie pojawia, czy znowu widziano jakie stadka w przelocie? Upraszamy najusilniej szanownych delegatów Tow. łowieckiego i w ogóle wszystkich przyjaciół naszego pisma, ażeby zwrócili uwagę na lotnego gościa z azyatyckich stepów, jeśliby się gdzie pojawił, i raczyli nadsyłać sprawdzone wiadomości o ewentualnem pojawieniu się pustynnika Rekakcyi „Łowca“, a złowione egzemplarze Zarządowi Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Jedna z ostatnich wiadomości zimowych o pustynniku pochodzi ze Szlezwiku, a mianowicie z miejscowości Szuby. Korespondent donosi, że ogromne masy śniegu, które tam spadły i kilkakrotne zawierzuchy z mroźnym wichrem północno-wschodnim, poczyniły wielkie zniszczenia między ptactwem. Wiele z nich, gdy zginęły, zostało przez drapieżne zwierzęta pożartych, a przecież, skoro tylko śnieg stajał, znajdywano po kilka razem zmarzniętych szpaków, trznadli, skowronków, ziemb, a nawet wron. Otóż śniegi te i zawierzuchy położyły także kres osiedlaniu się pustynnika, którego w Szlezwiku do późna w zimie spotykano. Znaleziono bowiem charakterystyczne pióra z sześciu oskubanych przez drapieżce pustynników, a nawet dwie główki i typowe odnóża tychże.

„Zdaje się przeto — mówi korespondent z Szub — że przeważna część tych ptaków jeszcze dość wcześnie przed naszym północnym klimatem do cieplejszych, południowych okolic odleciała, a resztki znalezione pochodzą widocznie z takich ptaków, które przez zawieruchę niespodziewanie zostały zaskoczone. Stało się więc to, co uważano za konieczność dla pustynników ze względu na nasze twarde klimatyczne stosunki.“

Szkodliwość wron. „Ziemianin“ podaje zajmujące szczegóły o szkodliwości wron.

Przeszłego lata — pisze jeden z korespondentów — miałem niejednokrotnie sposobność przekonać się, ile szkody wyrządziły wrony szare między bażantami i kuropatwami; doszedłem też do przekonania, że jest koniecznem tępić te drapieżne i szkodliwe ptaki. Tym wszystkim, którzy dotychczas nie mieli sposobności obserwować wron, muszę nadmienić, że żadne ze zwierząt i ptaków drapieżnych nie wyniszczy tyle zwierzyny, co wrona. Para wron zepsuje w jednym dniu na świeżo skoszonej łące lub koniczynie 4—5 gniazd kuropatw i bażantów, a więc 60—70 jaj. Również młode zające i młode gęsi mają we wronach największych wrogów i niszczycieli. Wrony posiadają odwagę i wytrzymałość w prześladowaniu i niszczeniu swych ofiar nie do uwierzenia: godzinami czasem trwają walki zajęcy matek z wronami o młode, aż nareszcie matki ulegną i młode zajączki stają się łupem nienasyconego i chciwego wroga, jakim dla zajęcy jest wrona. Dlatego są one niebezpieczniejsze od srok, że mają więcej siły i wytrwałości przy napadaniu na zwierzynę. Są przytem niezmiernie ostrożne i przezorne: nie można ich podejść na strzał, a gniazda trudno odnaleźć. Chcąc zatem zniszczyć w jakibądź sposób wrony, kupiłem małych zatrutych strychniną rybek; to już trochę pomogło, znalazłem kilkanaście wron i jednego tchórza zdechłych. Ponieważ jednak moi sąsiedzi, pomimo próśb, żadnych środków nie przedsięwzięli, liczba wron się nie zmniejszyła. Kto się zatem zalicza do myśliwych, komu tylko zależy na tem, aby się stan zwierzyny powiększył, ten powinien nietylko sam, ale wspólnie z sąsiadami niszczyć wrony, a nadto prosić i nawoływać, aby tym niszczycielom zwierzyny stanowczą wypowiedziano wojnę. Obecnie jest to najodpowiedniejsza pora. Używając trucizny, łapek i strzelając, można je znacznie przerzedzić. Stosunek wydatków do szkody, jaką wrony wyrządzają, jest żaden, nie licząc gniewu, jaki każdy myśliwy odczuwa na widok zmniejszającej się u niego zwierzyny. Jedynie wspólnemi siłami przedsięwziąć można odpowiednie i skuteczne środki przeciwko temu nieprzyjacielowi i niszczycielowi zwierzyny.

Foxhound'y i Harrier'y. Angielskiemu sportsmenowi głównie zależy na polowaniu „*par force*“, które przekłada nad wszelki inny rodzaj sportu; w skutek tego hodowla psów gończych na lisy stoi u niego na pierwszym planie. Liczba psiarń tego rodzaju wynosi w Anglii około 142. Jakkolwiek w Irlandyi polowanie to nie jest dzisiaj tak uprawiane jak ongi, jednakże liczba psów na lisa *(foxhound)* wynosi około 12.000, na jelenia *(derhound)* przeszło 600, a na zająca *(harrier)* około 3.500 głów. W Anglii psy na jelenia są głównie reprezentowane przez psiarnię królewską. Pies lisi, mało rozpowszechniony na kontynencie, odznacza się delikatnym węchem, wielką zmyślnością i bywa tresowanym także na dzika i wydrę. Nawet w polowaniu na jelenia oddaje on znakomite usługi, do czego używa się najsilniejszych. Baron Rothschild zrobił w tej mierze początek z zupełnem powodzeniem. *Sp.*

Walka ze żbikiem. Z Koszyc wybrało się w przeszłym miesiącu grono myśliwych w góry, na polowanie na dziki. Przy sprzyjającej pogodzie ruszono już kilka dzików, gdy nagle usłyszano rozpaczliwe wołanie o pomoc. Myśliwi pospieszyli w stronę, z której głos dochodził, i uszedłszy kilkadziesiąt kroków, ujrzeli chłopa rąbiącego drzewo, na którego grzbiecie siedział żbik, zatopiwszy głęboko pazury swoje w ciało nieszczęśliwego drwala. Myśliwi chcieli strzelić do zwierzęcia, lecz z obawy zabicia lub pokaleczenia równocześnie i jego ofiary, musieli próbować innego sposobu. Jeden z nich chwycił odważnie i silnie żbika za grzbiet, inni wzięli za łapy oślepłe z wściekłości zwierzę i w ten sposób wydarli go z karku drwala, rzucili na ziemię i zabili kolbami. Drwal przyznał się potem, że sam drażnił żbika, który siedział opodal na gałęzi, rzucając na niego kamieniami, a gdy dziki zwierz na niego się rzucił, nie mógł już w żaden sposób ze szponów jego się uwolnić i gdyby nie pomoc myśliwych, byłby zginął w okropny sposób.

Oryginalna przesyłka. Na stacyi kolejowej Houston, w Teksas, wyładowano dużą pakę, zaadresowaną: H. S. Trancy, Houston, Teksas. Coś się w niej łomotało, ale któż tam zważa na to, zwłaszcza koło świąt Bożego Narodzenia, w tłumie pak, gdzie sobie nieraz i psa i sarnę żywą i Bóg wie jakie bydlątka w upominku posyłają. Pakę pod adresem p. Trancy rzucono też bez żadnych korowodów na peron, wtem krach, trzask — i w jednej chwili stanął przed zdumionemi oczami pasażerów... brunatny niedźwiedź. Chwilkę stał jakby ogłupiały i odurzony przymusową podróżą w pace, lecz nagle puścił się biegiem po peronie, a młodzi i starzy umykali mu z drogi. Powstał krzyk i rwetes nieopisany, a myś wpadł prosto do pobliskiego rezerwoaru wodnego i począł się tam chlapać i pokazywać rozmaite sztuki pływackie. Tymczasem kilku zręcznych „lassoistów“ zarzuciło lassa i zmusiło mysia do opuszczenia basenu. Stanąwszy na twardym gruncie, począł niedźwiedź wywracać najpocieszniejsze koziołki, a od czasu do czasu zapędzał się na lassoistów i zmuszał ich do odwrotu. Nareszcie znacznej sile i zręczności lassoistów udało się, że mysia w końcu przemogli i skrępowanego nazad do podróżnej klatki zapakowali.

OD ADMINISTRACYI. Numer niniejszy „Łowca“ jest ostatnim, który posyłamy bezpłatnie tym z szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego, którzy dotąd wkładki swej za r. 1889. nie uiścili. Stosownie do uchwały Wydziału Towarzystwa, wyszlemy zalegającym członkom następny numer za pobraniem pocztowem, jeśli wkładki do końca maja br. nie złożą.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak,** ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie